Nr 1. Styczeń 1901. Rok XXI.

PRZEDŚWIT



MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

LONDYN
Z DRUKARNI POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

5 fr. — 4 sh. — 4 m. — 2 złr. 40 ct. (w kopercie 4 złr.) — 1 dol. — 10 milreisów — rocznie.

Nr. pojedyńczy 45 cent. — 4 d. — 35 fen. — 20 ct. austr. — 10 ct. amer. — 900 reisów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:

Józef Kaniowski, 67 Colworth Rd., Leytonstone, London N. E.

Nr. 1. **Styczeń 1901.** **Rok XXI.**

PRZEDŚWIT

Ze wspomnień Szlisselburczyka

I

Niewygodnie mi było spać na łóżku żelaznem w jednej z cel „Bastyonu Trubeckiego“. Więc i w nocy z 2 na 3 marca (st. st.) r. 1886 przewracałem się, jak zwykle, z boku na bok, poprawiając kajdany, aby zimne żelazo nie dotykało mego ciała. Działa twierdzy Petropawłowskiej już dokonały ostatnich salw z powodu galówki i zamilkły, a ja długo jeszcze nie mogłem usnąć, bo miałem nerwy nieco podniecone. Już przed dwoma tygodniami byłem przywieziony razem z Waryńskim do Petersburga i osadzony w twierdzy Petropawłowskiej. Książek mi nie dawano, więc chodziłem przez cały dzień z kąta w kąt bieganie takie zawsze podniecało moje nerwy i pozbawiało snu. Dopiero nad ranem zasnąłem.

Więzienie, w którem siedziałem, nazywa się „Bastyonem Trubeckim“. Jest to jeden z licznych zakątków w obrębie twierdzy Petropawłowskiej, gdzie setki ludzi z różnego stanu i różnych kierunków spędzali swe dni i złożyli swe kości. Po zamknięciu „Aleksiejewskiego Rawelinu“, gdzie w ciągu dwóch i pół lat wyginął kwiat Narodowolców, o ile wiemy, czynnym jest jeden tylko „Bastyon Trubecki“ jako więzienie śledcze dla ważniejszych spraw politycznych w Rosyi.

Jest to obszerny gmach w kształcie pięciokąta z dziedzińcem tego samego kształtu pośrodku. Dziedziniec ten służy dla przechadzek, które trwają nominalnie 14 m., bo spacer kończy się, gdy tylko na soborze Petropawłowskim zegar wybije kwadrans, lecz dużo czasu traci się na przyprowadzanie i odprowadzanie, więc w rzeczywistości przechadzka nigdy nie bywa dłuższą nad 10 m. Brak powietrza przeto dotkliwie odczuwa się w tem więzieniu — tembardziej, że ustępów tam niema, a do użytku więźniów służą zwykłe wiadra z wodą, raz na dzień zmieniane. Atmosfera więc w celi jest ciężka. Cele są duże i wysokie, sufit sklepiony, posadzka kamienna. Okna znajdują się wysoko i dają mało światła. W zimie trudno nawet w dzień czytać. Pośrodku celi, prostopadle do jednej ze ścian, przymocowane jest żelazne łóżko i również żelazny stół. Na stole stoją dwa kubki — dla wody i wrzątku. Kto ma własną herbatę, może ją pić, ale mnie jej nie wydano, piłem więc tylko kwas, który dawano po obiedzie i wieczorem. Na noc stawia się na stół lampa. Gasić jej niewolno.

Usługują tak zwani „przysięgli“, a dla nadzoru towarzyszą im zawsze żandarmi. Bez żandarma „przysięgły“ nie może drzwi otworzyć.

Nad ranem jeszcze mocno spałem, gdy zbudził mię łoskot otwieranych drzwi. Do celi wszedł zawiadowca więzienny, Leśnik, a za nim żandarmi i „przysięgli“; ci ostatni nieśli moją bieliznę i ubranie z „Pawiaka“.

„Ubieraj się pan!“ zwrócił się do mnie Leśnik.

Zrzuciłem bieliznę więzienną i z przyjemnością zacząłem się ubierać we własną. Zmiana kostyumu oznaczała wyjazd, a wyjechać z Petropawłowskiej twierdzy bardzo pragnąłem; znudziła mię ona; głównie jednak chciałem nareszcie się dowiedzieć, jakiego rodzaju katorga mię czeka.

Ubrany już, siedzę w poczekalni i czekam. Upływa godzina, druga, już dnieje, w więzieniu zaczyna się ruch; idą posługacze z wiadrami, przechodzą „przysięgli“, żandarmi, a ja wciąż siedzę. Nareszcie zjawia się Leśnik, ogląda moje ubranie, powiada, że jest mróz i każe przynieść dla mnie wojłok z warunkiem, żebym odesłał napowrót przez żandarmów, poczem oświadcza, że mogę iść. Przed bramą czekały sanie z płóciennem zakryciem, zaprzężone w trójkę koni. Wsiadłem do sanek, obok umieściło się dwóch żandarmów, ktoś krzyknął: „paszoł!“ i sanie szybko pomknęły po gładkim, ujeżdżonym śniegu. Minęliśmy sobór Petropawłowski, bramę forteczną, most, i wkrótce znaleźliśmy się na pustych zaułkach „Strony Wyborskiej“. Miasto jeszcze spało, bo była dopiero 7 g. i rzadko spotykaliśmy ludzi, którzy, zajęci swojemi sprawami, mało zwracali na nas uwagi.

Dokąd mię wiozą — nie powiedziano mi. Jeszcze w Warszawie na „Pawiaku“, gdy po nas przyszli żandarmi, spojrzeliśmy na rozkład jazdy i, zobaczywszy, że wieczorem odchodzi pociąg tylko do Petersburga, byliśmy z Waryńskim pewni, że nam przeznaczono na katorgę Szlisselburg. Teraz, gdy w saniach pocztowych wieziono mię z Petersburga, można było już nie wątpić o celu tej podróży, lecz tak mało miałem chęci być w Szlisselburgu, że dopóki mi tego nie powiedziano, żywiłem pewne iluzye. Chcąc ostatecznie kwestyę rozwiązać, pytam żandarma, kiedy dojedziemy do miejsca? Około pierwszej — była odpowiedź. Więc ile wiorst? — 69. Teraz już dla iluzyi nie pozostało miejsca.

Wjechaliśmy na szosę Szlisselburską. Z obu stron drogi ciągnęły się nieprzerwanym szeregiem domy, fabryki i składy. W tym kierunku, zdawało się końca miasta nie było. Jest to przemysłowe ognisko stolicy. Ledwo znikły ostatnie domy przedmieścia, a już sanki nasze stanęły przed stacyą „Ust'-Iżora“ Na ulicy spotkali nas miejscowi żandarmi i „uriadnik“. Wstąpiłem do budynku stacyjnego. Od rana nic nie miałem w ustach, byłem więc spragniony. Kazałem podać herbaty, zaproponowałem ją i żandarmom, lecz odmówili. Ogrzawszy się trochę, pojechaliśmy świeżymi końmi dalej.

Jechaliśmy raz lasem sosnowym, to znowu Newą po lodzie. W miarę wznoszenia się słońca — stawało się cieplej.

Blisko dwa tygodnie byłem pozbawiony świeżego powietrza, teraz więc oddychałem niem pełną piersią i czułem się rzeźwo. Chciałbym, ażeby nasza jazda trwała długo, jaknajdłużej. Może to już ostatnia moja rozrywka. Ale woźnica znów zatrzymuje konie. To już Jelizawietkin, ostatnia stacya przed Szlisselburgiem. Tu nas dłużej zatrzymano, póki przygotowano konie. Teraz jechaliśmy w odkrytych sankach, co pozwalało lepiej przyjrzeć się okolicom. Droga szła lasem w pobliżu Newy, która niekiedy znikała po za drzewami, lecz zwykle stanowiła część krajobrazu, ozdabiając go kontrastem swej białej, śnieżnej płaszczyzny z ciemną barwą lasów sosnowych. Trafił się nam gadatliwy „jamszczyk“, bo się rozgadał z żandarmami. Pamiętam, że wskazywał na miejsce, gdzie Newa nigdy nie zamarza z powodu źródeł podziemnych.

Spotkaliśmy sanki z dwoma żandarmami. Skręciły z drogi, zawróciły i pojechały za nami. To już awangarda szlisselburska wyjechała na moje spotkanie. Jazda prędko skończy się i zacznie się spotęgowane „katorżnoje położenje“. W wyobraźni mej rysowały się ciemne, brudne lochy, trochę słomy w kącie, zamiast łóżka, brutalne obejście się kajdany itp. akcesorya więzienne średnich wieków. Zapomniałem na chwilę, że oświecony rząd posiada subtelniejsze i bardziej skuteczne środki męczenia ludzi. Wszystko to nie przestraszało mię, bałem się jedynie własnych nerwów. Nie wytrzymały one próby w X pawilonie w Warszawie: tam po sześciu tygodniach samotnego siedzenia dostałem tak silnych halucynacyi, że żandarmi zmuszeni byli dać mi towarzysza. Prawie

byłem pewny, że i teraz nie zniosę samotności, że w Szlisselburgu zwaryuję; przecież tyle osób dostało pomięszania zmysłów w Petropawłowskiej fortecy, a ja pod względem siły nerwów należałem do słabych. To też, gdyby pozwolono mi wybierać — bez wahania przyjąłbym szubienicę, ale losy tak zrządziły, że wypadło mi w udziale to, czego najbardziej się obawiałem — samotność w więzieniu.

Widmo Szlisselburga coraz silniej opanowuje moją myśl i wyobraźnię, a konie tymczasem biegną i biegną... Szlisselburg zbliża się nieustannie. Nagle po jednym zakręcie ujrzałem wśród obszernej płaszczyzny jakieś białe mury. „Czy to Szlisselburg?“ — spytałem. „Tak jest, Szlisselburg? — odpowiedział żandarm. Z przykrem uczuciem przypatrywałem się murom, za którymi ukrywało się tyle tajemnic. Czułem cierpienia tych, co tam siedzą odosobnieni od całego świata, oddani na pastwę żandarmom, a jednocześnie opanowywała mię trwoga instynktowna o siebie, czy starczy mi sił, aby z godnością znieść wszystko do końca. Ale co będzie, to będzie! Byłem już gotów na wszystko, a jeśli zaczną się znowu halucynacye, to któż mi przeszkodzi pozbawić się życia? Myśli te, oraz świadomość, że będę dzielił los najdzielniejszych rewolucyonistów rosyjskich, dodawały mi ducha. Jednocześnie budziła się ciekawość, bo wkrótce miałem ujrzeć miejsce najniedostępniejsze w Rosyi.

Zbliżaliśmy się coraz bardziej. Już widziałem wyraźnie baszty narożne i szpic cerkwi. Zacząłem przechodzić w stan gorączkowy. Myśli rozpierzchły się, przygotowałem się do przyjęcia faktów. Nasze sanki wjechały do miasta Szlisselburga, przejechały uliczkę, skręciły na lewo przed „ziemską uprawą“ i stanęły na rynku przed pocztą. Żandarmi zeskoczyli z sanek, nadeszli i ci, co jechali w tyle, i zaczęli sprzeczać się, jak dalej jechać. Tymczasem wkoło nas zaczęła zbierać się gromadka ciekawych. Ludność miejska zapewne dużo nasłuchała się o tajemniczem więzieniu na wyspie, o jego podziemiach, a im mniej wiedziała, tem większe pole pozostawało dla fantazyi. Mieszczanie z ciekawością spoglądali na jednego z tych strasznych ludzi (może jakiego dygnitarza w niełasce), co zabili cara. Nie wiele zobaczyli, bo na sankach siedział młodzieniec w niebeskich okularach z małą brodą w aresztanckim chałacie i czapce, z kajdanami na nogach i patrzył spokojnie na nich. Nic więcej widzieć nie mogli i byliby rozczarowani, gdyby nie zjawił się komisarz policyi i nie rozpędził ciekawych; to dodało uroku tajemniczemu aresztantowi, i ci, co go widzieli, będą może kiedyś swym dzieciom opowiadać dziwne o nim rzeczy.

Gdyśmy w końcu ruszyli, żandarmi kazali jechać wprost do fortecy. Pojechaliśmy w stronę jeziora. Minęliśmy jeden kanał, potem drugi, zimujące galary i byliśmy już na Ładodze. Przez chwilę okrążaliśmy mury forteczne i sanki stanęły przed bramą. Przy bramie czekała na nas kupa ludzi — kilku oficerów żandarmskich, reszta podoficerowie. Żandarmi, którzy mię wieźli, zeskoczyli z sanek i zaczęli raportować. Wśród oficerów poznałem jednego, którego widziałem zrana w Trubeckim bastyonie; oczywiście pod jego kierownictwem byłem wieziony.

„Schoditie“ — zwrócił się do mnie jeden z oficerów. Wysiadłem. Ledwom stanął na ziemi, gdy mię otoczyli żandarmi, jedni chwycili pod ręce, drudzy podpychali z tyłu, i w ten sposób pociągnęli mię gwałtownie przez bramę. Tuż obok szli inni żandarmi, wykazując swoją postawą i ruchami, że gotowi są rzucić się na mnie przy pierwszym moim podejrzanym ruchu. Ztyłu szedł siwy oficer.

Takie przyjęcie było dla mnie niespodzianką, bo chociaż oczekiwałem daleko gorszych rzeczy, ale to bezcelowe rzucanie się na człowieka, który spokojnie dojechał do Szlisselburga i nie objawiał najmniejszej chęci stawiania oporu — zdumiło mię i przyznaję się, było mi przykrem. Tak prowadzą tylko dzikie

zwierzęta. Szliśmy, czyli raczej wleczono mię, prędko przez środek fortecy około murowanych domów z prawej strony, a cerkwi z lewej. Później zrozumiałem, że takie spotkanie było jednym z pedagogicznych środków administracyi, przy pomocy których zamierzała przygnębić duch więźniów i stłumić wszelką z ich strony opozycyę.

Wrota żelazne, zamykające wyjście z dziedzińca więziennego, były otwarte i zaraz się za mną zawarły. Przed sobą ujrzałem duży, piętrowy gmach z czerwonej cegły w stylu fabryki z gankiem na słupach żelaznych i dwoma wysokimi, żelaznymi wentylatorami, sterczącymi na dachu jak kominy fabryczne.

Myślałem, że poprowadzą mię do tego gmachu, lecz przeszliśmy obok niego przez podwórze do drugich wrót, znajdujących się pod sklepieniem muru. Tu naraz zatrzymano się i oficer, który szedł ztyłu (a był to Sokołow, zawiadowca więzienia), dał znak (wytresował on tak swoich żandarmów, że obchodził się bez słów, porozumiewając się znakami) i wnet mię puścili, dwaj zaś żandarmi schylili się ku ziemi i zaczęli rozbijać kajdany. Te jednak nie ustępowały ich usiłowaniom, pobiegli więc po inny młot. Stałem przeciwko Sokołowa i jego podwładnych. Wszyscy milczeli. Nerwy moje były strasznie naprężone i z tego powodu, oraz od zimna, drżałem, jak w febrze. Czekałem, co ze mną będą robili, i nie myślałem o niczem. Rozbijanie kajdan nie sprawiło wrażenia, bo sądziłem, że zmienią tylko warszawskie na szlisselburskie, zapewne cięższe jeszcze. Dopiero gdy kajdany opadły i Sokołow kazał mi, bym szedł nazad w stronę gmachu, koło którego przeszliśmy niedawno, i gdy żandarmi zamiast wlec, uwolnili moje ręce, pozwalając iść swobodnie, uczułem wówczas taką fizyczną ulgę, że odrazu stało mi się lżej na duszy.

Przez ganek i sień weszliśmy na korytarz, ze dwa sążnie szerokości, idący przez całą długość budynku. Wszystkie cele (40) parteru i pierwszego piętra wychodziły na ten korytarz. Wszedłem do niedużego pokoju o dwóch oknach, gdzie w kącie znajdowała się żelazna wanna. Żandarmów było tu pełno z oficerem i doktorem na czele. Kazano rozbierać się. Ledwie zacząłem zdejmować kapotę, gdy żandarmi rzucili się na moje ubranie, jedni zaczęli ściągać kapotę, inni spodnie, buty, bieliznę... Za chwilę stałem goły pośród całej zgrai żandarmskiej. Wówczas zaczęli mię opatrywać ze wszystkich stron, szukać w uszach, we włosach, pod pachą, między palcami nóg i wszędzie, gdzie tylko fantazya żandarmska mogła przypuścić istnienie kontrabandy, nie krępując się niczem, jak gdybym był rzeczą martwą. Potem podszedł doktor, obejrzał moje ciało, i zapytał, czym zdrów? Odpowiedziałem — zdrów. Nareszcie dano mi bieliznę z grubego płótna uszytą, jak gdyby na szykanę albo bardzo małych, albo dużych rozmiarów, płócienne onucze, samodziałowe spodnie, które nie chciały się trzymać w pasie i ciągle opadały, oraz krótką, niedochodzącą do brzucha kurtkę szarą z czarnymi rękawami i asem na plecach. W takim paradnym stroju wyprowadzono mię napowrót przez korytarz i schody na pierwsze piętro do pierwszej celi od drzwi (Nr 36).

W celi Sokołow wystąpił z przemową. Wskazał na instrukcyę, która zabrania komunikować się za pomocą pukania z sąsiadami, i radził jej się trzymać, bo inaczej z powodu różnych wykroczeń on zmuszonym będzie przedsiębrać środki, czego nie chciałby robić. Następnie oświadczył, że stosownie do instrukcyi on jest obowiązany mówić do więźnia „ty“. Jeśli czego potrzebuję, powinienem do niego się zwracać, gdy on sam zjawi się, a zwracać się do żandarmów i wołać go niewolno. Nareszcie zapytał, czy niechcę jeść po podróży; może być „życzy“ (żełatielno) odpocząć, każę otworzyć łóżko. Kawał chleba i zimna zupa były podane, a łóżko żelazne, wiszące na ścianie, otworzone. Drzwi zamknęły się, klucz zgrzytnął i pozostałem sam w swoim nowym lokalu.

Gdy zostałem sam w celi, obejrzałem się po niej. Był to mały pokoik

6 kroków długi i $4^1/_2$ szeroki. Sufit wysoki, sklepiony, okno o 9-u szybach matowych było tak wysoko, iż ręka z trudnością dosięgała pierwszej szyby. Ściany na wysokość człowieka pomalowane na czarno wyżej zaś — białe. Podłoga cementowa na żółto malowana. Do prawej ściany przymocowane łóżko żelazne, odwracane do ściany i zamykane na kłódkę. Pościel składała się z materaca, dwóch poduszek i kołdry. Prześcieradło i powłoczki białe i cienkie. Przy łóżku żelazny kaloryfer żebrowy, ogrzewany gorącą wodą. Przy lewej ścianie umocowany stół żelazny i także ławka, dalej zaś umywalka z kranem. W kącie klozet z doprowadzaną rurką wodą, a w przedniej ścianie dwa wentylatory. Okno moje wychodziło na południe, pomimo więc matowych szyb było dość jasno.

W celi było świeżo i czysto, całkiem niepodobnie do tego, co rysowało się w mojej wyobraźni. Chodziłem więc zadowolony, że rewizye i szykany skończyły się i że nogi takie lekkie bez kajdan. Zatrzymałem się na widok instrukcyi, zaciekawiony, jakie tu są inne warunki dla więźniów. Jak wszystkie instrukcye tego rodzaju, głosiła ona przedewszystkiem, czego więźniom robić niewolno. A więc nie wolno komunikować się z towarzyszami więzienia, nie wolno śpiewać ani hałasować. Za przekraczanie tych przepisów ustanowione są kary: pozbawienie ulg i karcer. Za większe winy („prestuplenija“) grozi sąd wojenny na zasadzie ustawy o „katorżnych“ i kara do 1000 uderzeń rózgami, a za obrazę czynną oficerów więźniowie ulegają karze śmierci przez rozstrzelanie. Prócz pogróżek instrukcya wylicza i ulgi. Za dobre prowadzenie się więźniowie mogą otrzymywać książki z biblioteki więziennej, dostają herbatę i, w razie potrzeby, może być pozwolona pogawędka z popem. No, w każdym razie książki są i, bądź co bądź, będę mógł zabijać czas.

Chodziłem po celi, przetrawiając wrażenia, gdy usłyszałem pukanie do mojej celi zprawa. Słucham, lecz nic zrozumieć nie mogę. Oczywiście używają tu innego alfabetu. W Warszawie przyzwyczaiłem się do polskiego, zawierającego 5 liter w szeregu, więc ułożyłem tak samo alfabet rosyjski. Prócz tego sposób pukania i znaki były tu zupełnie inne. Trzeba było odgadywać, co mi się też prędko udało, i nazajutrz już rozumiałem pukanie. Sąsiad pytał: „kto wy“? więc oznajmiłem swoje nazwisko. Kiedym tak pukał, okienko we drzwiach otworzyło się i do celi zajrzała głowa Sokołowa. „Jeśli nie przestaniesz pukać — zwrócił się do mnie — będę zmuszony przedsięwziąć środki“ — i zatrzasnął gniewnie okienko. Tego więc dnia nie pukałem, następnego zaś nikt mi nie odpowiadał już, bo sąsiada przeniesiono do innej celi i obok mojej było pusto. Za lewą ścianą mieściła się sień, na dole zaś ktoś umierał i tylko dźwięki rozdzierającego kaszlu dochodziły stamtąd. W ten sposób na długo pozostałem osamotniony, bo chociaż później wsadzili kogoś do celi na dole, ale na moje pukanie nikt nie odpowiadał. Zresztą nie byłem wielkim amatorem pukania, bo póki człowiek się nie wprawi, trzeba usilnie natężać uwagę, by pochwycić każde uderzenie, następujące szybko jedno po drugiem, a to mię bardzo męczyło. Potem nauczyłem się doskonale pukać i nie czułem więcej znużenia przy tej czynności.

O godzinie 4-ej usłyszałem na korytarzu hałas, potem stukanie okienek we drzwiach, otworzyło się i moje okienko. Podano mi dwa kubki herbaty i kawałek cukru. Herbata była bardzo lekka, właściwie wrzątek nieco zafarbowany, lecz wypiłem ją z przyjemnością. Potem przechadzałem się i przysłuchiwałem. co się dzieje w więzieniu. Cisza była grobowa. Czasem tylko czyjś gwałtowny kaszel przerywał ją na chwilkę, a potem znów następowała cisza. Od czasu do czasu mogłem zauważyć, jak otwierała się przykrywka mego okienka we drzwiach i oko żandarmskie pilnie przyglądało mi się. Następnie szkiełko znów się przykrywało i słyszałem cichy odgłos oddalających się kroków.

Chodziłem, leżałem, znowu chodziłem, rozmyślając, nasłuchując. Starałem

się zoryentować w nowem położeniu. Czysta cela, oswobodzenie od kajdan były przyjemne, jednakże rodziła się obawa o przyszłość, czy długo wytrzymam samotność. Jeszcze w Warszawie słyszałem, że w Szlisselburgu mają trzymać tylko część terminu katorgi, więc może zatrzymają mnie ze dwa lata. Ale czy wytrzymam? Prawie byłem pewien, że nie. Na wszelki więc wypadek trzeba ubezpieczyć się od waryactwa, trzeba pozbawić się życia, gdy tylko halucynacye zaczną mię dręczyć. Był ręcznik, ale żadnego ćwieka lub innej rzeczy, o którą można by go było zaczepić. Pozostaje więc chyba rękami okręcić ręcznik około szyi i udusić się. Znalazłszy to niby wyjście na wypadek waryactwa, byłem już zrezygnowany i spokojny.

O siódmej podano kolacyę — odegrzaną zupę od obiadu. Na wieży cerkiewnej stróż wybijał godziny. Byłem zmęczony. Nie doczekałem się dziewiątej i ułożyłem się do snu. Łóżko żelazne było wązkie i niezbyt wygodne, ale pościel czysta, kołdra miękka i ciepła, poduszki z pierza. Wyciągnąłem się wygodnie, okryłem się, pomyślałem o tem, jak to dobrze spać bez kajdan, i mocno zasnąłem po raz pierwszy w Szlisselburgu.

Więzienie szlisselburskie było otwarte o rok i siedem miesięcy przed moim przybyciem. Wiele mogił nasyciło już mściwość rządu. Gdyby warunki pozostały bez zmiany — więzienie mogło by pozostać bez więźniów. Rząd rosyjski nie życzył sobie uchodzić za rząd rzeźników, więc trzeba było nieco ulżyć więźniom. To też zastałem warunki znośniejsze. Była już biblioteka, złożona nie tylko z książek religijnej treści, lecz zawierająca i dzieła historyczne, podróże i podręczniki elementarne. Znajdowała się tam historya powszechna Szlossera, (prócz tomu VI go, traktującego o rewolucyi francuskiej), historya państwa rosyjskiego Sołowjowa, Historya książąt burgund. Barente'a, Historya Grecyi Gillina (XVIII w). „W krainie ludów" Hellwalda, „Ziemia i jej mieszkańcy" tegoż autora, Podróże Liwingstona po Zambezi, Tęgoborskiego „Les forces productives de la Russie", magazyn podróży i ziemioznawstwa, wydawany w r, 1853-4, Rittera ziemioznawstwo Azyi, Dumont D'Urvill'a „Podróż na około świata" i Haxthausen'a „Zakaukazki Kraj". Powieści ani pism peryodycznych nie było wcale. Większa część biblioteki składała się ze starych dzieł, ale między niemi była pewna ilość książek rzadkich i szacownych, które z przyjemnością czytywaliśmy.

Dano mi też po kilku tygodniach kajet z ponumerowanemi stronnicami i ołówek, jak również tabliczkę szyfrową i rysik.

Cały oddałem się czytaniu. Udało mi się na samym początku otrzymać Szlossera, po nim z kolei przeczytałem wszystko, co tylko było warte czytania. Zajmowałem się trochę niemieckim i francuskim, ale systematycznie pracować nie mogłem. Szukanie w słowniku wyrazów i zapisywanie ich męczyło moje nerwy i prędko robiło mię niezdolnym do wszelkiej pracy. Postanowiłem przeto czytać tylko dla przyjemności.

Drugą ważną ulgą było pozwolenie na spacery we dwójkę. Prawda, nie wszystkim jeszcze i nie co dzień, lecz trzy razy na tydzień (o uldze tej początkowo nie wiedziałem). Rewizyi sobotnich już nie było, t. j. rewidowano celę w czasie spaceru.

Pokarm był jeszcze ten sam, ale przynajmniej dawano gorący obiad. Szykany były, ale drobne. Co do mnie osobiście — byłem młody, zdrów i posiadałem zasób świeżych sił, mnie więc warunki te wydały się znośnymi. Rozumiałem, że to katorga, nie żądałem nic dla przyjemności, starałem się tylko znieść nudę, tęsknotę do ludzi i wszelkie braki. Z początku tęsknota była silna, potem zjawiała się peryodycznie, a w końcu przyzwyczaiłem się i dni zaczęły schodzić dosyć prędko przy czytaniu. W ten sposób uniknąłem wszelkich starć z Sokołowem. Bałem się jakiej zniewagi, którą, mojem zdaniem, trzeba by było życiem zapłacić, chciałem więc uniknąć czegoś podobnego, i starałem się uniknąć

starć. Było nie mało osób tegoż co i ja zdania, ale byli i inni, którzy uważali za swój obowiązek nie ustępować i dobijać się praw. Włazili więc na okna patrzeć, co się dzieje na podwórzu i na placu za murem fortecznym, korespondowali ze sobą, wymyślali Sokołowa i t. p. Sadzano ich za to do karceru, wiązano i bito.

SYONIZM A SOCYALIZM

Syonizm jest wypływem reakcyi w kołach mieszczaństwa żydowskiego przeciwko współczesnemu antysemityzmowi.

Wśród drobnego i średniego mieszczaństwa oraz chłopstwa, przyciśniętego i zagrożonego w swem istnieniu wskutek rozwoju sił wytwórczych, pozbawionego widoków na powrót do dawnego położenia, rozwinęło się wrogie usposobienie względem żydów, jako przedstawicieli kapitalizmu. Szlachta, kościół i militaryzm, trzymając się odwiecznych poglądów i sądząc, że rozpowszechnienie feodalnych myśli i uczuć zagwarantuje im egzystencyę na przyszłość i uratuje ich od upadku, przejęły na siebie kierownictwo antysemityzmu. Rządy i wielka burżuazya chrześciańska powitały w antysemityzmie tamę wobec zalewu, grożącego im ze strony ruchu proletaryackiego. Chrześciańska inteligencya cieszyła się, że za pomocą antysemityzmu uda się jej usunąć niebezpiecznego konkurenta — ruchliwego żyda. Stąd położenie żydów staje się coraz cięższem, a hałas i krzyki przeciwko nim coraz bardziej ogłuszającymi. Źródła ich dochodów są coraz bardziej zagrożone, a droga do stanowisk państwowych, do urzędów, zamyka się coraz szczelniej dla inteligencyi żydowskiej. Odwoływanie się żydów do równouprawnienia spotykają drwiny, a sami żydzi są uważani za element szkodliwy. Najgorszem jest położenie żydów w absolutystycznej Rosyi i azyatyckiej Rumunii, gdzie są odarci z najelementarniejszych praw obywatelskich.

Z wielu krajów dochodzą skargi na niedolę żydów. Jeśli bowiem dzisiejsze położenie żydów jest bez porównania lepsze aniżeli przed stu laty i jeśli w wielu krajach czują się wolnymi panami, to jednak pomimo to są całkiem słusznie niezadowoleni. Przecież nie są już więcej własnością imperyumu niemieckiego, nie są już więcej pokornymi paryasami, wdzięcznymi za prawo do oddychania i wystawiania się na policzki; są oni dziećmi epoki rewolucyjnej, wyrośli w atmosferze rewolucyjnej czują jak przedstawiciele burżuazyi, jak ludzie, którzy chcą panować. Od współczesnego państwa nie mogą dziś nic żądać, przeszłość ich była smutna, a socyalistycznej przyszłości albo nie rozumieją, jako członkowie klasy burżuazyjnej, albo drżą na samą myśl o „zniżeniu się“ do proletaryatu. Jedynie z czasów starożytnych przyświeca im blask ich religijno-narodowego państwa. W tem położeniu nieświadomie rodzi się ideał takiego państwa, gdzieby żydzi panowali samodzielnie i wyłącznie, a więc „państwa żydowskiego“. Z tych samych powodów rozwoju historycznego, z których mieszczanin wyznania chrześciańskiego staje się antysemitą, burżua żydowski przejmuje się syonizmem. Pierwszy żąda „chrześciańskiego“ państwa wieków średnich, drugi „żydowskiego“ państwa starożytności.

Syonizm, jak oświadczył kongres w Bazylei, dąży do wytworzenia własnego, zabezpieczonego przez prawo publiczne, ogniska dla ludu żydowskiego.

Liczba syonistów jest prawdopodobnie nie duża, ale stanowią oni we wszystkich krajach, zwłaszcza we Wschodniej Europie jedyne stronnictwo burżuazyi żydowskiej, które się rozwija. Asymilanci nie wytwarzają już żadnego ruchu, a przeważająca większość tej burżuazyi jest obojętna. Maks Nordau, jeden z kierowników syonizmu, utrzymuje, że wszystkie warstwy żydostwa są przejęte syonizmem z wyjątkiem milionerów i pracującego proletaryatu. W patetycznych wyrazach podnosi on dzielność, moralność i idealizm „przywódców" proletaryatu żydowskiego i nawołuje ich do przystąpienia do ruchu syonistycznego, gdyż oba kierunki zdążają do tegoż samego celu biblia urzeczywistnia socyalizm, a Marks i Lasal byli żydami. Maks Nordau jest osamotniony pod tym względem i spotkał się zresztą natychmiast z zaprzeczeniem...

Co prawda, pewna liczba charakterów rewolucyjnych, szlachetnych a naiwnych dusz, marzy o syntezie socyalizmu i syonizmu, ale rzeczywisty ruch syonistyczny, wszystkie jego organa i jego kierownik oraz „założyciel", dr. Herzl, zachowują się wrogo względem socyalizmu. Syoniści spotwarzają i oczerniają partyę socyalistyczną, rozpowszechniają o niej baśnie wśród ludu, wpadają na zgromadzenia socyalistyczne i zmuszają zorganizowany proletaryat żydowski do wyraźnego zdania sobie sprawy ze stanowiska względem syonizmu.

Zasadniczo socyaliści nic nie mają przeciwko celowi ostatecznemu syonizmu, przeciwko założeniu państwa żydowskiego w Palestynie. Wprawdzie nasuwają się mocne i uzasadnione wątpliwości, czy urzeczywistnienie tej myśli w bliższej lub dalszej przyszłości jest możliwe, czy Turcya, tracąca grunt w Europie i mordująca w okropny sposób ormian, którzy pragną autonomii, zechce oddać dobrowolnie ostateczną swą ucieczkę — prowincye azyatyckie, czy mocarstwa europejskie, jak się spodziewają syoniści, poczynią kroki na korzyść stworzenia państwa żydowskiego, czy próby założenia podobnego państwa nie wywołają straszliwego wybuchu nienawiści przeciwko dawnym mordercom Zbawiciela ze strony klerykałów wszystkich krajów, którzy długo jeszcze będą przejęci fanatyzmem chrześciańskim, czy na Wschodzie przy dzisiejszych warunkach może powstać społeczeństwo kulturalne itd. Ale już same te wątpliwości wydają się syonistom zbrodnią, żądają oni, ażeby cały proletaryat żydowski był ożywiony głęboką wiarą w urzeczywistnienie państwa żydowskiego. W rzeczywistości udział proletaryatu może być dla syonistów obojętny, ponieważ chcą oni osiągnąć swój cel — państwo żydowskie — w drodze rokowań dyplomatycznych mocarstw europejskich z Turcyą i to za pieniądze. Chodzi więc tu o geszeft, mający na celu oswobodzenie, nie zaś o walkę wolnościową. W tej ostatniej udział socyalistów żydowskich byłby możliwy, w pierwszym nie mają nic do roboty. Rewolucyjni zwolennicy mogliby tylko przeszkodzić rokowaniom z cesarzem niemieckim, carem i sułtanem. Przytem syoniści nie potrzebują kłopotać się o zasiedlenie swego kraju. Przy sprzyjających warunkach ekonomicznych tłumy proletaryuszy żydowskich podążą do Palestyny, przy nie sprzyjających — nie będzie tam mas, pomimo zapału do syonizmu. Takie potoki emigracyi zdążają w kierunku najdogodniejszych źródeł zarobkowania i żadne przekonanie nic tu nie może zmienić. Albo może syoniści przypuszczają, że proletaryusze żydowscy staną się akcyonaryuszami banku syonistycznego i oddadzą tych parę groszy, których nie mają chyba zanadto dla wywalczenia lepszych warunków życiowych, angielskim albo niemieckim kapitalistom, ażeby ci zarządzali nimi? Jestto zanadto głupie, ażeby się nad tem zastanawiać. O ile udział proletaryatu żydowskiego jest dla syonistów obojętny, o tyle zboczenie proletaryatu z drogi jego właściwych zadań historycznych musi przynieść mu nieobliczalne szkody.

Kwestya celu ostatecznego bynajmniej jeszcze nie określa stosunku ocyalistów żydowskich do syonizmu. O tym stosunku nie rozstrzyga ani cel

ostateczny, ani złudzenia jednostek, ale tylko i jedynie ruch syonistyczny — taki. jakim jest — jego działalność i poglądy, wypływające z łona interesów klasowych i świadomości klasowej, jego stosunek do żywotnch interesów współczesnych i kwestyi dnia, jak się to wszystko objawia w oficyalnych oświadczeniach i wydawnictwach.

Syoniści kładą nacisk na współprzynależność i nierozerwalną jedność wszystkich żydów jako na najistotniejszą swą zasadę. Dla walki klasowej w łonie żydostwa nie mają miejsca. Albo zaprzeczają istnieniu licznego pracującego proletaryatu wśród żydów, albo, jeśli muszą istnienie jego uznać, to wypowiadają się przeciwko walce klasowej we wszelkich jej formach, jak np. przeciwko strejkom. Najbardziej postępowi wśród nich — wyrzuceni z organizacyi socyaliści lub też polityknjący subjekci, którzy chcieliby wytworzyć według wzoru chrześciańskich socyalistów (antysemitów) żydowski narodowo-socyalny ruch robotniczy, radzą proletaryatowi zaczekać z walką klasową aż do założenia państwa żydowskiego. Syoniści wogóle nie dbają o sprawę robotniczą. Jedyny raz chcieli niektórzy na kongresie w Bazylei „ująć się“ w interesie drobnych wyzyskiwaczy i naganiaczy za robotnikami żydowskimi z Borysławia, nagle pozbawionymi pracy wskutek zaprowadzenia racyonalnych przepisów ochronnych. Kongres jednak oprysklіwie usunął z porządku dziennego nawet sprawę akcyi ratunkowej na korzyść robotników żydowskich, którzy popadli w ostateczną nędzę, natomiast uznał się za ciało kompetentne do obradowania nad sprawą Dreyfusa i uchwalenia hołdu carowi. Syoniści nigdy nie przyszli z pomocą swoim strejkującym braciom żydowskim; pozostawiają to chrześciańsko aryjskim proletaryuszom.

Ich stanowisko w sprawie robotniczej najwyraźniej występuje w uznanej przez nich za zasadniczą broszurze dra Teodora Herzla „Państwo żydowskie“, której dzisiejszy ruch syonistyczny zawdzięcza swe powstanie. Zdania w niej wypowiedziane nie zostały odwołane i sama broszura jest stale rozpowszechniana i wielbiona. Otóż w tem dziełku dr. Herzl powiada, że do Palestyny podążą przedewszystkiem robotnicy żydowscy, którzy wybudują tam mosty, drogi, koleje, telegrafy i domy. Po dokonaniu tego wszystkiego robotnicy otrzymają lepianki, kapitaliści zaś zabiorą resztę. Kapitał nie będzie się tam czuł tak nieswojsko, jak w Europie, lecz będzie się mógł rozwijać swobodnie. Robotnicy nie powinni otrzymywać płacy w pieniądzach, gdyż mogliby je przepić, w państwie żydowskim panuje tedy system truckowy — robotnicy otrzymują odzież i artykuły spożywcze; jeśli w ciągu pewnego czasu prowadzą się dobrze, otrzymują w podarunku ubranie. *Robotnik, który nie chce pracować, idzie do domu przymusowej pracy.* Niewolnictwo więc zostaje w państwie żydowskiem prawnie ustalone. Naturalnie nie ma też w „państwie żydowskiem“ prawa koalicyi. Zgromadzeń według zdania dra Herzla nie wolno będzie odbywać, gdyż „nie potrzeba próżnego gadania“. I takie rzeczy stale się w książce powtarzają.

Kiedy się sobie uprzytomni wszystkie te poglądy, wprost niewiadomo czy się śmiać z tej ignorancyi fejletonisty gazeciarskiego, czy oburzać się na utopistyczną propagandę rzeczywistej niewoli robotników. A przecież, skoro taki pan wstępuje na trybunę kongresu syonistów, całe zgomadzenie nie posiada się z radości i potakuje mu. To też nic dziwnego, że robotnicy spotykają w stowarzyszeniach syonistycznych najgorszych swych wyzyskiwaczy

Ale wobec tak nieprawdopodobnego stanowiska względem zagadnień ekonomicznych, socyaliści żydowscy muszą kłaść większy niż kiedyindziej nacisk na walkę klasową, ponieważ jedynie w walce ze swymi wyzyskiwaczami podnosi się proletaryat żydowski z zaśniedziałości i ciemnoty swego istnienia ku jasnemu światłu wolności, przygotowując swe ostateczne wyzwolenie.

Jeszcze bardziej niż kwestye ekonomiczne dzieli ruch syonistyczny od przyznającego się do socyalizmu proletaryatu żydowskiego cały pogląd na świat pierwszego, jego stanowisko wobec kwestyi polityki i życia.

Syonistyczny pogląd na świat stanowi jedną całość skończoną systematyczną i konsekwentną. Jak antysemityzm i syonizm ze względu na swe pochodzenie i istnienie przedstawiają dwie strony jednego i tego samego rozwoju klasy mieszczańskiej, tak i syonistyczny pogląd na świat nie jest niczem innem, jak tylko przełożonym na żydowskie antysemityzmem.

Wszystkie mowy i pisma syonistów świadczą, że syoniści uważają antysemityzm za coś wiecznego, wrodzonego aryjczykom, wprost tkwiącego w ich organizmie. Pomiędzy żydami a nie-żydami istnieje przeciwieństwo i antypatya, których nie zdołają usunąć wypadki historyczne. I ten „fakt" cieszy syonistów, ponieważ daje im rękojmię odrębności ludu żydowskiego wobec innych ludów. Wszystko, coby mogło tę odrębność usunąć, jest przez nich wyszydzane i lżone. Wolność, równość, braterstwo — wszystko to dla nich wyrazy bez treści, kłamstwa konwencyonalne, słowa bezwartościowe. Sądzą, że Izrael dość złożył ofiar w interesie innych narodów, nie otrzymał za to żadnego albo liche wynagrodzenie, teraz więc powinien pomyśleć o sobie samym. Zdawałoby się, że nie mają żadnego wyobrażenia o tem, iż wolność i sprawiedliwość na każdym punkcie kuli ziemskiej stanowią cel same w sobie, żadnego wyobrażenia o wewnętrznych popędach, które kierowały bojownikami ducha i wolności, kiedy stawali się apostołami swych przekonań, żadnego wyobrażenia o tem, że ci bojownicy według własnego przeświadczenia więcej brali od życia, aniżeli mu dawali. Zresztą mieszczaństwo Izraela najmniej chyba się może skarżyć na bezowocność tych walk: jego dzisiejsze stanowisko prawne i udział w życiu jest owocem właśnie tych walk. Może sobie Izrael syonistyczny ogłaszać burżuazyi w swym pesymizmie etycznym jałowość wolności i równości, ale żydowskiemu proletaryatowi nie wolno tego czynić pod karą samobójstwa. Albowiem jest on walczącą, podnoszącą się klasą, która czyni zdobycze dzięki wierze w wolność i postęp, czyni je dzięki bohaterskiej akcyi proletaryuszy „aryjczyków". Dla proletaryatu wolność i równość pozostają siłami pobudzającemi, realnemi potęgami życiowemi.

O ile syonizm nie uznaje żadnych nowożytnych ideałów moralnych i odrzuca wszystkie czynniki zbratania się ludzi, o tyle naturalnie wyszukuje na swe poparcie wszystko, co wyodrębnia żydów i głównie czyni ich żydami.

Religia żydowska zawsze była głównem spoidłem żydów, posiada też specyficznie „narodowy" charakter. Otóż syoniści traktują ją z najgłębszym szacunkiem. Zajmują się przeszłością religijną żydów, używają na swych zgromadzeniach ludowych i w swej literaturze żargonowej cytat z Talmudu i innych pism religijnych na poparcie syonizmu. Jeśli niektórzy chasydzi widzą w syonizmie naruszenie praw oczekiwanego Mesyasza, to jednak wybitni ortodoksyjni rabini wyznają syonizm. Syoniści opowiadają nawet, że sławny czortkowski rabin-cudotwórca z nimi współczuje. Posiadają oni w bardzo wielu miastach specyalne stowarzyszenia dla ortodoksyjnych żydów-syonistów, w Rosyi zaś w szeregach syonistycznych znajdują się setki rabinów ortodoksyjnych. Na rabinów syoniści zapatrują się też jako na przywódców narodu, do nich zwraca się autor „Kłamstw konwencyonalnych" *) z uroczystemi prośbami i traktuje ich z oznakami głębokiego uszanowania. Oni to nadają ton ruchowi. Wielu też syonistów z kół inteligencyi, którzy nigdy nie mieli żadnego pojęcia o prawdziwem życiu żydowskiem, stało się religijnymi lub też udaje religij-

*) Max Nordau.

nych. Pan dr. Herzl, libertyn z „Neue Freie Presse", pozwala się zapraszac na odczytywanie Tory, członkowie londyńskiego kongresu syonistycznego w sobotę tłumnie i ostentacyjnie idą do synagogi, w sobotę przerywają się obrady kongresu, a na komersie kongresowym, w którym biorą udział setki inteligencyi, odmawia się z nakrytemi głowami, pod przewodnictwem rabina, błogosławieństwo jadła.

Religijność jednostki jest zawsze świętą sprawą sumienia, ale ostentacyina religijność całej partyi politycznej jest klerykalizmem, nigdy celem sama w sobie, lecz zawsze płaszczykiem reakcyi. Naturalnie syoniści wypowiadają się, choć nieśmiało, za szkołą wyznaniową; na to są przecież naśladowcami antysemitów, ażeby być szowinistami ludźmi ograniczonymi i klerykałami. Nie ważą się jednak głośno i często podnosić tej kwestyi, ponieważ mieszczaństwo żydowskie posiada na tym punkcie jeszcze dużo „dziwacznego" instynktu samozachowawczego.

Jasnem jest, że ten „religijny" pogląd na świat nie może pozyskać uznania socyalistów żydowskich. Proletaryat żydowski musi iść przeciwną drogą. Pod przekleństwem rabińskiego poglądu na świat zanadto pogrążył się w apatyi, ciemnocie i nędzy. Robotnik żydowski powinien w sobotę wieczór iść zamiast do bóżnicy lub synagogi, gdzie słucha zawiłych urywków Midraszu, odczytywanych przez ortodoksyjnego kaznodzieję, raczej do stowarzyszenia robotniczego na wykład o darwinizmie. Powinien z klerykalnego azyaty przekształcić się na myślącego europejczyka.

W związku z poglądem na świat znajduje się i polityczne wyznanie wiary syonistów. Jest ono skrajnie reakcyjne. Syoniści z lubością kładą nacisk na swój konserwatyzm. Specyalnie czyni to dr. Herzl. W państwie żydowskiem — oświadcza on — oligarchia, (ta, nawet przez konserwatywnych profesorów prawa państwowego ze wstrętem potępiona, instytucya) jest idealną formą rządu, albowiem lud jest za głupi i nie zna się wcale na sprawach państwowych. W konsekwencyi tego poglądu syoniści zawsze wypowiadają się za rządem, za „władzami"; żydów, o ile nie są bronieni przez władze, uważają za wyjętych z pod prawa. Z tego powodu żydzi według nich nigdy nie powinni szorstko występować przeciwko władzom. Po ekscesach antyżydowskich w Galicyi syoniści sławili stan wyjątkowy i żądali jego przedłużenia, jakkolwiek skierowany był jedynie przeciwko zupełnie nie mającym nic wspólnego z rozruchami socyalistom, antysemickiej zaś prasy nie dotknął. Jako prawdziwi szowiniści czynili oni cały naród polski odpowiedzialnym za czyny jednostek, lżyli go i oświadczali, że kat jest jedynym możliwym szerzycielem kultury wśród polaków. Wogóle zawsze zgóry można przypuszczać, że się w sprawach polityki zachowają reakcyjnie.

Wszystkie ich uczucia skierowane są ku sprawom zagranicznym, stanowiącym punkt ciężkości ich zasadniczego programu w sprawach politycznych. Ponieważ chcą założyć państwo żydowskie z łaski dyplomatów i panujących, przeto główna ich uwaga jest zwrócona na to, ażeby otrzymać tę łaskę. Sułtan, cesarz niemiecki, car rosyjski (każde z tych imion starczy za program) cieszą się ich specyalną uwagą. Adresy hołdownicze, które wysłali do sułtana jako przyszłego swego władcy, pozostały, jak się zdaje, bez skutku. Przynajmniej obostrzono od tego czasu dla żydów przepisy imigracyjne w Palestynie. Ale syoniści rachują na to, że u sułtana dużo znaczą pieniądze i traktują go stale jako swego władcę przyszłego z należnem uszanowaniem.

Całą swą miłość skierowują jednak do osoby cesarza niemieckiego. Jego podróże i mowy stanowią przedmiot specyalnych komentarzy w prasie syonistycznej. Drowi Herzlowi udało się też otrzymać posłuchanie u cesarza niemieckiego podczas jego podróży do Palestyny, prawdopodobnie dzięki

wpływowi „Neue Freie Presse“. Treść rozmowy cesarza z Herzlem dotychczas pozostała tajemnicą dla profanów, ale we wszystkich miasteczkach polskich syoniści gubią się w kombinacyach co do treści i wyników tego posłuchania. Uznaje się je za pierwszy „sukces“ syonistów, za co ci ostatni starają się wedle możności okazać swą wdzięczność. Jakkolwiek up. wniosek, dotyczący powiększenia floty niemieckiej, nie stał w żadnym stosunku do interesów żydowskich, pisma syonistyczne, poświęcone czysto żydowskim sprawom, dawały długie artykuły w obronie wniosku flotowego i obsypywały „Vorwärts“ i socyalistów zarzutami i wymyślaniami.

Najciekawszem i najważniejszem jest stanowisko syonistów względem caratu. Carat jest najstraszniejszym biczem żydostwa i położenie pięciu milionów żydów w Rosyi napełnia zgrozą każde ludzkie, kochające wolność serce. A jednak kongres żydowski posyła carowi z powodu manifestu pokojowego najuniżeńszy adres hołdowniczy, a broszury syonistyczne malują cara jako przyjaciela ludzkości. Za pomocą swoich frazesów, za pomocą kwestyi podatku na cele syonistyczne, banku syonistycznego i koncesyi w Palestynie syoniści opanowują polityczne i ideowe życie mieszczaństwa żydowskiego, odrywając to ostatnie (stanowiące w pewnej części Rosyi przeważającą część ludności miejskiej) od jego zadania historycznego — walki z absolutyzmem. Syoniści skrzętnie rozpowszechniają, jako swe własne, teorye rządu carskiego, że żydzi są jedynie „narodem gościem“, zależnym od postępowania „narodów-gospodarzy“. W ten sposób pozbawiają praw ludność żydowską Rosyi, odbierają jej wiarę w słuszność równouprawnienia i wzmacniają absolutyzm.

Chytry rząd rosyjski okazuje im też wdzięczność. Organa urzędowe rządu rosyjskiego chwalą syonizm, rząd rosyjski pozwala w tym kraju najstraszniejszego ucisku politycznego na zgromadzenia syonistów i konferencye ich delegatów, a ich prasa i wydawnictwa są rozpowszechniane całkiem swobodnie. Nic dziwnego, boć przecie z tego korzysta absolutyzm.

Socyalizm żydowski jest rewolucyjny, nie ma nic do czynienia z panującymi i dyplomatami, i przyjaciele caratu są jego *wrogami*.

Te krótkie zarysy poglądu na świat i polityki współczesnego ruchu syonistycznego są dla naszego celu wystarczające. Zawierają one w swem objektywnem rzeczowem przedstawieniu jasną odpowiedź na wezwanie Maxa Nordaua, ażeby socyaliści żydowscy stali się syonistami. Ruch syonistyczny stanowi zaprzeczenie wszystkiego tego, co dla socyalizmu jest drogiem i świętem. Zadaniem tedy socyalistów żydowskich jest — trzymać go zdaleka od proletaryatu.

Dr. M. Zetterbaum.

WYBORY W AUSTRYI

Wszystko ma swój koniec — skończyły się więc nareszcie i wybory w Austryi, które wlokły się przez cały kwartał, zamiast odbyć się, jak w innych krajach cywilizowanych, w ciągu jednego dnia. Ale bo też w żadnym kraju wybory nie przedstawiają takiego dziwoląga co do swej formy, jak w monarchii Habsburgów. Rozmaite kurye wyborcze — te resztki średniowieczczyzny stanowej, wybory warstw uprzywilejowanych, różniące się od wyborów mas ludowych, kilkakrotne głosowania w różnych kuryach jednych i tych samych wyborców, wybory pośrednie i bezpośrednie, głosowanie tajne i jawne — oto obraz procesu

narodzin nowej izby deputowanych, która po tak ciężkich przejściach niema najmniejszej pewności, czy po paru posiedzeniach nie zostanie rozwiązana lub zastąpiona przez bardziej dogodny dla rządu w stosunkach austryackich § 14.

Jak oryginalnym jest przebieg wyborów do parlamentu austryackiego, tak oryginalną jest i sama fizyognomia izby deputowanych, odpowiadająca z jednej strony stosunkom ekonomicznym państwa, a z drugiej — jego składowi etnograficznemu. Żaden parlament na świecie nie liczy tylu i tak różnych partyi jak austryacki, bo aż coś około trzydziestu. Jest w nim prócz tego przeszło pół tuzina „dzikich", z których żaden nie może znaleść partyi, o tyle zbliżonej programowo do jego poglądów, ażeby się do niej mógł przyłączyć, reprezentuje więc sam specyalną „partyę".

W parlamencie austryackim obok partyi, broniących interesów pewnych warstw społecznych: agraryuszy, liberałów, feodałów, socyalistów, spotykamy kluby czysto narodowe, reprezentujące całość pewnej narodowości, widzimy też, że reprezentanci tych samych interesów klasowych zasiadają w różnych klubach, stosownie do swej narodowości. Wszystko to wytwarza taki chaos, z którym nawet najmędrsi mężowie stanu nie daliby sobie rady, a cóż dopiero mówić o austryackich ministrach, z których najdowcipniejszy zdobył się zaledwie na system „vortwursteln" i upadł natychmiast, skoro tylko uczynił pierwszy krok w kierunku rozsądnej roformy.

Nie możemy przypatrywać się bliżej przebiegowi wyborów we wszystkich prowincyach Austryi oddzielnie. Zatrzymamy się przeto głównie na dwóch skupieniach prowincyi, odgrywających główną rolę w życiu politycznem Austryi — na ziemiach alpejskich wraz z Dolną Austryą i jej stolicą — Wiedniem z jednej strony, a na krajach „korony św. Wacława" — z drugiej. Tu bowiem starły się w gorącej walce te czynniki, od których zależy przedewszystkiem rozwój polityczny Austryi, tu antagonizmy narodowościowe i społeczne uwydatniły się najwyraźniej.

Rada państwa była, jak wiadomo, rozwiązana z tego powodu, że rząd nie mógł sobie dać rady z obstrukcyą młodoczechów, którzy dla pokazania, że nie są niczem gorszem od szowinistów niemieckich i potrafią hałasować tak samo jak i oni, urządzili taki piekielny koncert na naczyniach kuchennych i piszczałkach, że nie pozostawało nic innego, jak zamknąć parlament. Ma się rozumieć, że w ten sposób bynajmniej nie usunięto zasadniczej przyczyny owych koncertów, dawanych przez obstrukcyonistów niemieckich na pulpitach, a czeskich na pokrywkach od rondli. Walka narodowościowa, wypchnięta z parlamentu, toczyła się w dalszym ciągu. Na zgromadzeniach i w prasie podczas agitacyi przedwyborczej hasła narodowościowe zostały wysunięte na plan pierwszy, one nadały cechę zasadniczą całej akcyi wyborczej, która też zakończyła się zwycięstwem najskrajniejszych żywiołów nacyonalistycznych i porażką tych, które pod względem dążności szowinistycznych dały się wyprzedzić innym.

A więc przedewszystkiem jesteśmy świadkami wprost niesłychanego zwycięstwa radykałów niemieckich — t. zw. „schönererowczyków". Kiedy w poprzednim parlamencie partya ta była reprezentowana przez 6-ciu posłów, obecnie weszło ich do parlamentu 21 (19 z Czech, 1 ze Śląska, a 1 z Dolnej Austryi). Jest to partya otwarcie antyaustryacka, marząca o połączeniu niemieckiej części Austryi z Niemcami i opanowana nienawiścią do wszystkiego nieniemieckiego. Przywódca tej partyi — Schönerer — to typ nieokiełznanego bursza pruskiego, piwosza i zawadyaki, który dla szowinistów niemieckich jest wcieleniem „idei wszechniemieckiej". Swem krzykactwem, swą otwartą nienawiścią do dynastyi Habsburskiej, swym radykalizmem i bezwzględnością swej taktyki Schönerer ogromnie imponuje młodzieży i młodej inteligencyi, która go wprost ubóstwia. W ostatnich czasach coraz wybitniejszą rolę wśród radykałów prusofilskich od-

grywa Wolf, słynny z burd, wywołanych przezeń w parlamencie, krzykacz i szowinista, nie ustępujący Schönererowi. Radykali niemieccy bynajmniej nie ukrywają tego, że dążnością ich jest albo wywalczenie w Austryi zupełnego panowania żywiołu niemieckiego nad resztą ludów, albo doprowadzenie Austryi do takiego stanu, że rozbiór jej, a więc i przyłączenie wielkiej części do Niemiec stanie się jedynem wyjściem. O żadnych ustępstwach nie chcą nawet słyszeć i grożą zupełnem obezwładnieniem maszyny parlamentarnej, jeśli rząd nie przeprowadzi głównego ich żądania najbliższego — zapewnienia językowi niemieckiemu nazawsze panowania nad innymi.

Najobfitsze żniwo zebrali schönerowczycy w północnych Czechach gdzie ludność nie tylko sympatyami, ale — w znacznej mierze — stosunkami codziennymi jest związana z „wielką niemiecką ojczyzną“, gdzie nacyonalizm niemiecki wywybujał najsilniej, gdzie „Los von Rom Bewegung“ *) największe święciła tryumfy. Ofiarą padli z jednej strony socyaliści niemieccy, z drugiej liberali.

I po stronie czeskiej skrajnie narodowe hasła zdobyły największą popularność. Młodoczesi, pomimo urządzenia przez nich obstrukcyi, pomimo rzucania w tłumy frazesów szowinistycznych, pomimo ustawicznego wymachiwania sztandarem prawnopaństwowym, zostali przelicytowani, jako narodowcy, przez młodsze, jeszcze bardziej radykalne stronnictwa.

Stronnictwo młodoczeskie, które po upadku staroczechów mogło się nie bez pewnej słuszności uważać za reprezentacyę *całej* narodowości czeskiej w parlamencie, (robotnicy, zorganizowani w partyę socyalistyczną, a nie uznający ich hegemonii, wcale jeszcze nie posiadali naówczas praw wyborczych), w ciągu ostatnich kilku lat zmieniło się na reprezentacyę burżuazyi i biurokracyi. Chłopi i rzemieślnicy, na których się opierała pierwotnie partya młodoczeska, stopniowo usuwali się z pod jej kierownictwa, pragnąc wytworzyć własne, samodzielne organizacye partyjne. Rzemieślnicy weszli w dość znacznej liczbie w skład partyi antysemickiej, bardzo jeszcze słabej, część ich założyła stronnictwo „rękodzielnicze“ — również stawiające dopiero pierwsze kroki, część nareszcie poszła za partyami radykalnemi, wytworzonemi przez młodą inteligencyę — „radykalno-postępową“ i „postępowo-prawnopaństwową“.

Chłopi, a zwłaszcza najzamożniejsza ich część, na którą młodoczesi najbardziej zawsze liczyli przy wyborach, posunęli się już dalej w kierunku wyodrębnienia się od młodoczechów, wytworzywszy silną organizacyę partyjną „agraryuszy“. Ta to partya podczas ostatnich wyborów wystawiła cały szereg własnych kandydatów przeciwko młodoczeskim, zwalczając tych ostatnich nie tylko z punktu widzenia swych interesów stanowych, ale też i jako oportunistów pod względem narodowym. Kandydaci agraryuszów zapowiadali swym wyborcom wywalczenie czeskiego prawa państwowego za pomocą jaknajostrzejszych środków, nie cofając się przed niczem, i znajdowali — właśnie z tego powodu — wielki posłuch wśród mas. W rezultacie nie tylko uzyskali znaczną liczbę głosów, ale i zdołali przeprowadzić 6-ciu własnych posłów, z obrotnym przywódcą agraryuszy, redaktorem głównego ich organu, na czele. Wszystkie te 6 mandatów zostały zdobyte na młodoczechach. Zapewne, że tu interes stanowy odgrywał pierwszorzędną rolę, ale hasła radykalizmu narodowościowego, głoszone przez agraryuszy, przedewszystkiem pociągnęły szersze masy.

Jeszcze bardziej dopomógł do zwycięstwa radykalizm narodowościowy stronnictwu „robotników narodowych“, którzy zdobyli 4 mandaty, w tem 1 na młodoczechach. Jeśli jaka partya odpowiada schönererowczykom nie-

*) Wszczęty przez schönererowczyków ruch za przechodzeniem niemców na protestantyzm pod hasłem „Precz od Rzymu“.

mieckim, to chyba ta, stworzona pierwotnie przez młodoczechów dla zwalczania socyalizmu, ale ostatecznie zrywająca z młodoczechami i idąca własną drogą do zdobycia czeskiego prawa państwowego. Najbardziej szowinistyczne frazesy, połączone z iście rozbójniczą taktyką à la Breiter i jego stronnicy, wyzyskiwanie najbrutalniejszych instynktów mas, dziwaczna mieszanina poglądów politycznych — oto cechy znamienne partyi „robotników narodowych", w której prawdziwych robotników jest bardzo niedużo.

Partyą tą dowodzi niejaki Klofacz, pozujący na czeskiego Wolfa, a wybrany jednocześnie w dwóch okręgach. Bliższe zapoznanie się z osobistością tego przywódcy ułatwi nam ocenienie charakteru całej partyi. Jako student uniwersytetu czeskiego Klofacz brał udział w ruchu postępowym młodzieży na początku dziesiątego dziesięciolecia przeszłego wieku i wśród przywódców tego ruchu odznaczał się swem polonofilstwem. Podczas procesu „Omladiny" zwija chorągiewkę i wstępuje do redakcyi „Narodnich Listów", stając się jednocześnie zażartym moskalofilą, chwalcą despotyzmu carskiego i wrogiem polaków. Z ramienia partyi młodoczeskiej organizuje stronnictwo „robotników narodowych" do walki z socyalizmem, w końcu zrywa z młodoczechami i, stając na czele „robotników narodowych", wypowiada im walkę, uderzając w ton najskrajniejszego szowinizmu. Dążności prawnopaństwowe, moskalofilstwo, klerykalizm, antysemityzm, „socyalizm narodowy" w duchu pastora Naumanna w Niemczech, wszystko to znajdziemy u Klofacza a zarazem u jego partyi. Kiedy zbliżał się czas wyborów, Klofacz za przykładem Wolfa udał się w żebry, wypraszając pieniądze od kogo się tylko dało: od posłów młodoczeskich, bankierów żydowskich, przemysłowych firm niemieckich, księży, nareszcie od policyi (jak to udowodnił czeski dziennik socyalistyczny ‚Prawo Lidu"). Pomimo, że go demaskowano kilkakrotnie, jego frazeologia patryotyczna zwyciężyła — i został wybrany dwukrotnie, ażeby dotrzymywać w parlamencie kroku Wolfom i Schönererom. Rzecz charakterystyczna, że młodoczesi, ratując swój „stan posiadania", musieli również bardziej niż zwykle podkreślać swój patryotyzm i wymachiwać chorągiewką obstrukcyi, bo inaczej straciliby może jeszcze więcej mandatów niż obecnie.

W krajach alpejskich wraz w dolną Austryą charakterystyczną cechą wyborów ostatnich jest porażka klerykałów i antysemitów, stanowiących, właściwie mówiąc, tylko odmianę klerykałów. Najwybitniejsi przywódcy klerykałów niemieckich, jak Dipauli i Ebenhoch poprzepadali, a stronnictwo klerykalne straciło cały szereg mandatów i to nie tylko w kuryi V, IV i III, ale nawet w kuryi wielkiej własności ziemskiej w Solnogrodzie. Ta ich porażka tłómaczy się tak somo wzrostem nacyonalizmu niemieckiego, jak i zwycięstwo schönererowczyków Klerykali bowiem byli jedyną partyą, zdradzającą niemiecką „Gemeinbürgschaft", wchodząc w sojusz z „Kołem Polskim" i klubem młodoczeskim, popierając dążności federalistyczne, uważane przez nich za środek do powstrzymania wszelkiego postępu społeczno-politycznego w opanowanych przez nich chłopskich prowincyach — w Tyrolu, Przedarulanii, Górnej Austryi, Solnogrodzie itd.

Ta ich taktyka, okrzyczana za „słowianofilską", pomściła się na nich przy wyborach, gdyż skrajnie narodowe dążności wtargnęły i do ich twierdz, jak się zdawało, niezdobytych, i tam poczyniły szczerby w ich „stanie posiadania".

Podobny poniekąd charakter ma i klęska antysemitów w Dolnej Austryi i w Wiedniu, ale tu do upadku luegerowczyków przedewszystkiem przyczyniła się niezmordowana praca agitacyjna i organizacyjna naszych towarzyszy wiedeńskich. W V kuryi socyaliści odebrali im 3 mandaty, a w III jeden. Przy wyborach z kuryi miejskiej zachowali oni w Wiedniu, co prawda, swój „stan posiadania", ale w porównaniu z tem, co było w r. 1897-ym, zwycięstwo to wygląda raczej na porażkę, gdyż utracili wielką ilość głosów. Na prowincyi natomiast (w Dol-

nej Austryi) nie zdobyli ani jednego mandatu. Ich czarnożółty patryotyzm, ich uleganie we wszystkiem hierarchii duchownej zniechęciło te sfery, które nie posunęły się jeszcze tak daleko w radykalizmie narodowym, ażeby wybierać schönererowczyków, ale które już zerwały z czarnożółtym serwilizmem. Antysemici więc wchodzą do nowego parlamentu w szczupłej liczbie 21 posłów, z których wszyscy, z wyjątkiem jednego, zostali wybrani w jednej prowincyi — Dolnej ustryi.

Upadek antysemityzmu w Wiedniu — i to upadek taki, którego nie można uznać za zjawisko przemijające, tylko należy traktować jako „początek końca“ panowania wszechpotężnej do niedawna luegerowczyzny — ma znaczenie ogromne dla całego państwa jako objaw życia politycznego stolicy, z którą rząd nawet w tak rozkawałkowanem i zdecentralizowanem państwie, jak Austrya, musi się liczyć przedewszystkiem. Fakt ten wpłynie niewątpliwie na osłabienie prądów reakcyjnych.

Co do wyborów w reszcie prowincyi Austryi, to te nie mają większego znaczenia. Zresztą nie zaszły tam żadne poważniejsze zmiany ani w ustosunkowaniu się stronnictw, ani w ich sile liczebnej.

Najciekawsze są dla nas plony i straty towarzyszy naszych — socyalistów niemieckich i czeskich. Przypatrzmyż się więc bliżej ich zapasom ze zjednoczoną reakcyą.

W Wiedniu i w Dolnej Austryi wogóle towarzysze nasi mieli zadanie niełatwe. Cała ta prowincya, wraz ze stolicą państwa, stanowiła dotychczas najsilniejszą twierdzę antysemityzmu — tego płytkiego luegerowskiego antysemityzmu, łączącego w sobie tępość i ograniczoność drobnomieszczaństwa z przebiegłością i nieuczciwością jezuitów. Antysemici byli zupełnymi panami Wiednia, w ich ręku znajduje się magistrat, który popełniał tysiące nadużyć i fałszerstw, byle pozbawić robotników ich praw wyborczych. Cała potęga kleru poparła antysemitów, arcybiskup Grusza demonstracyjnie ofiarował większą sumę na fundusz wyborczy stronnictwa antysemickiego, a księża chodzili od domu do domu, agitując za kandydatami Luegera. Jeśli weźmiemy pod uwagę i to jeszcze, że Wiedeń nie jest miastem fabrycznem, tylko drobnoprzemysłowem i że dzielnice przemysłowe zostały tak sprytnie poprzydzielane do poszczególnych okręgów wyborczych, że robotnicy nigdzie nie mają większości, to zrozumiemy, jak trudnem było zadanie towarzyszy wiedeńskich.

W r. 1897 wszyscy kandydaci socyalistyczni w całej Dolnej Austryi poprzepadali, ulegając zwartej sile antysemitów. Porażka ta jednak wyszła im o tyle na dobre, że zdwoili swą energię w pracy agitacyjnej, rozwinęli jeszcze większą działalność w stowarzyszeniach zawodowych i kształcących i zwalczali antysemitów na każdym kroku. Antysemici w ciągu ostatnich trzech lat popełnili cały szereg błędów w gospodarce miejskiej, ich postępowanie kompromitowało stronnictwo nieraz, a socyaliści bardzo zręcznie wyzyskiwali te ich kroki fałszywe zdzierając z nich maskę „przyjaciół ludu“ i pokazując, że nie są niczem innem, jak reakcyonistami i pachołkami klerykalizmu.

Usilna praca socyalistów została sowicie wynagrodzona Kiedy w r. 1897 w całym Wiedniu socyaliści zdobyli 88.340 głosów wobec 111.102 głosów antysemickich, to obecnie ci ostatni otrzymali zaledwie 102.333, kiedy nasi towarzysze — 96.014. W ciągu więc tych trzech lat liczba głosów socyalistycznych urosła o 7 674, antysemickich zaś spadła o 8.769. Różnica pomiędzy ogólną liczbą głosów socyalistycznych a antysemickich w r. 1897 wynosiła 22 262 na korzyść ostatnich; obecnie ta różnica równa się tylko 6.319, a więc zmniejszyła się na korzyść socyalistów o 15.943.

Sam Lueger — to bożyszcze antysemityzmu wiedeńskiego, jakkolwiek został jeszcze wybrany, otrzymał jednak o 2000 głosów mniej niż przed trzema laty.

W całej Dolnej Austryi liczba głosów, oddanych na socyalistów, znacznie się powiększyła. W okręgu Wiener Neustadt kandydat antysemicki otrzymał przeszło o 9000 głosów mniej aniżeli w r 1897.

W Wiedniu socyaliści zdobyli dwa mandaty, a jeden na prowincyi — w okręgu Wiener Neustadt. Wybrani zostali dr. W. Ellenbogen, Fr. Schumayer i E. Pernerstorfer. Najwybitniejszy przywódca socyalistów niemieckich w Austryi — tow. Wiktor Adler jeszcze tym razem nie przeszedł, jakkolwiek uzyskał o kilkaset tylko głosów mniej od swego przeciwnika i upadł ostatecznie dopiero przy ściślejszem głosowaniu, gdzie antysemici natężyli wszystkie swe siły i nie zaniedbali żadnych nadużyć.

Jedyny dotychczasowy mandat socyalistyczny z ziem alpejskich — z Gracu — został utracony, pomimo, że w tym roku nasz kandydat otrzymał o 1200 głosów więcej niż przed trzema laty. Wówczas był on zdobyty, co prawda, dopiero w ściślejszem głosowaniu. Obecnie wszystkie partye reakcyjne odrazu skoncentrowały swe głosy na kandydaturze niemca-ludowca, i dlatego kandydat socyalistyczny — były poseł Resel — upadł pomimo zwiększenia się liczby głosów socyalistycznych.

W tej samej Styryi kandydat socyalistyczny zdobył tak znaczną liczbę głosów (o 193 więcej niż w r 1897) w okręgu Bruck, że przeciwnik jego - klerykał — pobił go większością zaledwie 12 głosów. Świadczy to o wielkich postępach socyalizmu w tej prowincyi i pozwala spodziewać się zwycięstwa już przy następnych wyborach.

Ciężkie straty ponieśli socyaliści w Czechach i na Morawach — i to zarówno niemieccy, jak i czescy. Przy poprzednich wyborach następujące okręgi były zdobyte przez socyalistów: w Czechach — Śmichów, Pilzno, Cheb, Liberzec, Zatec i Trutnów — pierwsze dwa przez socyalistów czeskich, reszta przez niemieckich; na Morawach — Berno, Ołomunice i Mährisch-Schönberg, z których ostatni zdobył socyalista-niemiec, dwa zaś pierwsze — czesi. Otóż z tych wszystkich okręgów socyalistycznymi pozostały obecnie tylko trzy: Liberzec, Märisch-Schönberg i Berno. Gdyby nie Cingr, wybrany przez robotników polskich w Cieszyńskiem, socyaliści czescy posiadaliby zaledwie jednego posła — tow. Hybesza z Berna, a i ten został wybrany dopiero w ściślejszem głosowaniu.

Socyaliści niemieccy potracili swe mandaty na korzyść schönererowczyków, a czescy (z wyjątkiem jednego) — narodowych robotników, t. j. na korzyść skrajnych narodowców. Porażka więc socyalistów w ziemiach czeskich tłómaczy się wielkim wzrostem skrajnych dążności narodowościowych.

W północnych Czechach, w kraju najbardziej przemysłowym ze wszystkich prowincyi austryackich, gdzie socyalizm wśród robotników jest zakorzeniony od dawien dawna, kandydaci nasi nie stracili głosów robotniczych, ale za to wszystkie głosy burżuazyjne, które podostawali byli w r. 1897, obecnie odpadły. Trzy lata temu, kiedy wybory z V kuryi odbywały się po raz pierwszy, bardzo wielka część postępowej burżuazyi i inteligencyi niemieckiej uważała tę kuryę za własność robotników i czuła obowiązek głosowania za kandydatami robotniczymi. Od tego czasu zmieniła się sytuacya dość znacznie. Walka narodowościowa ogromnie wybujała, szowinizm objął całą inteligencyę północnoczeską, nie mówiąc już o burżuazyi. Sfery te były mocno niezadowolone ze stanowiska posłów socyalistycznych w sprawie językowej, frazesy narodowców, oskarżające socyalistów niemieckich o zdradę, znalazły posłuch, i w rezultacie zwyciężyli schönererowczycy.

To samo mniej więcej odbyło się i w społeczeństwie czeskiem. Pod wpływem zaognienia się walki narodowościowej socyalistom odpadły bez mała wszystkie głosy nierobotnicze. Gorszą jednak jest strata wielkiej liczby głosów robotniczych przez socyalistów czeskich, tłómacząca się znowuż ich stanowiskiem w sprawie narodowościowej.

Kiedy pierwsi socyalistyczni posłowie czescy wypowiedzieli się w r. 1897 otwarcie i kategorycznie przeciwko czeskiemu prawu państwowemu, szowiniści czescy pozyskali bardzo wdzięczny grunt dla agitacyi antysocyalistycznej. Ogłoszono socyalistów za zdrajców narodowości czeskiej. wytworzono nawet specyalną „narodowo-socylistyczną“ organizacyę robotniczą i w ten sposób oderwano dość znaczną część małouświadomionych a oszołomionych frazesami szowinistycznymi robotników. W szeregach samej partyi socyalistycznej w Czechach nastąpiło pewne zniechęcenie, a bezowocność walki w parlamencie zaraziło tą apatyą i szersze masy robotnicze. Należy do tego dodać jeszcze oddziaływanie przegranych strejków górniczych na Kładnie i w okręgu Morawskoostrawskim, a wówczas zrozumiemy przyczyny tak niespodziewanej klęski.

Co do trzeciej z ziem „korony św Wacława“ t. j. Śląska, to tu socyaliści zdobyli na narodowcach niemieckich nowy mandat w okręgu Opawa i zachowali dawny — Cieszyński. W ten sposób Śląsk jest jedyną prowincyą Austryi, w której wszystkie mandaty V kuryi należą do partyi socyalistycznej.

Charakterystyczną cechą ostatnich wyborów jest wielki wzrost głosów socyalistycznych w kuryi miejskiej, dający się zauważyć tak w Czechach, jak i w krajach alpejskich. Zwłaszcza widocznym jest on w Dolnej Austryi, gdzie socyaliści poraz pierwszy zdobyli mandat w okręgu miejskim Korneuburg. Tu we wszystkich prawie okręgach kandydaci socyalistyczni zdobyli bardzo dużo głosów — w ogólnej liczbie około 20.000, a w dwóch okręgach przyszli do ściślejszego głosowania. Tłómaczy się to przedewszystkiem faktem, że w Austryi Dolnej cenzus przy wyborach z III kuryi jest bardzo niski (8 koron podatku osobisto-dochodowego) i, dzięki temu, w kuryi miejskiej głosuje też część robotników, co pozwala w przyszłości spodziewać się zwycięstw i w tej uprzywilejowanej kuryi.

Klub socyalistyczny w nowym parlamencie jest znacznie szczuplejszy. Zamiast 15 posłów zasiała w nim tylko 10, ale jakościowo wcale nie przedstawia się gorzej. Obok Daszyńskiego, który pozostanie „leaderem“ klubu, wszedł doń jeden z najbardziej doświadczonych i wytrawnych parlamentarzystów w Austryi, osiwiały w bojach tow. Pernerstorfer, który zanim zaciągnął się do partyi socyalistycznej, przez szereg lat bronił w parlamencie interesów ludu, zarazem i polskiego, nie mającego wówczas jeszcze własnych przedstawicieli, jako demokrata. Nieodżałowanym jest tylko ubytek dra Verkaufa, świetnego znawcy polityki socyalnej i dobrego mówcy. Z partyi socyalistycznych tylko rusińska i południowosłowiańska nie będą posiadały własnego przdstawiciela w klubie.

Ostatnie wybory jeszcze raz naocznie udowodniły proletaryatowi, jak niedostateczną i marną bronią jest V kurya, w której robotnicy wydani są w olbrzymiej większość okręgów na pastwę wrogich im żywiołów, głosujących już w innych kuryach. To też w klęskach, jakie poniósł socyalizm przy ostatnich wyborach, robotnicy znajdą nowe siły do podjęcia energicznej walki o uprzątnięcie wszelkich kuryi, o zniesienie głosowania pośredniego, o jedyną odpowiadającą interesom mas ludowych formę wyborów — o powszechne, bezpośrednie i tajne głosowanie.

Cyfrowo ogólny rezultat wyborów przedstawia się w następujący sposób:

Stronnictwo	liczba posłów
Koło Polskie	61
Polskie zjednoczenie ludowe	8
Rusini	11
Rumuni	5
Młodoczesi	53
Agraryusze czescy	6
Narodowi robotnicy czescy	4
Klerykali czescy	2

Centrum morawskie	3
Feodalna własność ziemska	16
Wiernokonstytucyjna „ „	30
Niemiecka katolicka partya ludowa	23
Związek ludowców niemieckich	49
Centrum niemieckie	6
Antysemici	21
Schönererowczycy	21
Postępowcy niemieccy	35
Wolnomyślni niemieccy	3
Włosi	19
Słoweńcy	16
Chorwaci	9
Serbowie	2
Dzicy	9
Socyaliści	10

Nie jest wykluczonem też połączenie się niektórych — zwłaszcza drobnych partyjek — w większe skupienia. Według narodowości w nowym parlamencie niemców jest 206, Słowian 195, włochów 19, a rumunów 5 Co do zysków i strat głównych partyi, to najwięcej przybyło posłów schönererowczykom, bo 13, dalej ludowcom niemieckim — 8, czeskim agraryuszom i robotnikom narodowym — po 6, „Kołu polskiemu" — 5, włochom 4, rusinom 2; stracili zaś najwięcej młodoczesi — 8, antysemici — 6, socyaliści — 5, katolickie stronnictwo ludowe — 4 i t. d.

St. Os...arz

W sprawie ruchu rosyjskiego

Wobec nieustannie wzmagającej się reakcyi rządowej i stopniowego zanikania żywiołów opozycyjnych w sferach inteligencyi rosyjskiej — ruch robotniczy w Rosyi jest jedynym jasnym punktem na ponurem tle życia tego kraju. Dlatego też z uwagą i radością wsłuchujemy się w dolatujące nas echa walki robotników rosyjskich z fabrykantami, dlatego zdajemy sprawę czytelnikom naszym z ewolucyi programowej w łonie rosyjskiego obozu socyalistycznego i omawiamy najbardziej charakterystyczne objawy tego ruchu. Cieszymy się z postępów, jakie czyni socyalizm w Rosyi, co jednak nie przeszkadza nam zapatrywać się trzeźwo na znaczenie i doniosłość tego ruchu w kraju, gdzie proletaryat fabryczny stanowi 1.7 % ogółu ludności, a chłopi 87 %.

Dotychczas wobec ruchu rosyjskiego odgrywaliśmy rolę sympatyzujących widzów, jeśli nie brać pod uwagę tych stosunkowo drobnych usług, jakie oddawaliśmy pewnym organizacyom rosyjskim. Praktycznego znaczenia dla nas nie miał on jeszcze ze względu na jego niedojrzałość, na chaotyczność i nieskoordynowanie jego objawów. To znaczenie będzie on miał dla nas tylko wówczas kiedy w Rosyi rdzennej powstanie silna organizacyjnie i jednolita programowo partya, któraby reprezentowała jeśli już nie całość, to bodaj większość czynnych sił socyalistycznych kraju. Tylko taka bowiem partya może zdaniem naszem wchodzić w trwałe sojusze z organizacyami innych narodowości i dawać gwaran-

cyę wypełniania przez ogół towarzyszy rosyjskich przyjętych zobowiązań.

Partya nasza zawsze dokładnie zdawała sobie z tego sprawę i nawet wystąpiła w r. 1897-ym z inicyatywą zjazdu, któryby doprowadził do połączenia wszystkich socyalnodemokratycznych organizacyi rosyjskich w jedną całość. Myśl ta została podjęta następnie przez inne żywioły i oto nastąpiło formalne połączenie się paru „Związków Walki“ w Socyalistyczną Partyę robotniczą Rosyi. Pomimo to jednak i dziś jeszcze nie ma mowy ani o programowej, ani też o organizacyjnej jednolitości ruchu rosyjskiego, nawet jego socyalnodemokratycznego odcienia.

Obok komitetów Socyalnodemokratycznej Partyi Rosyi istnieje Rosyjska Partya Socyalnodemokratyczna, wydająca organ „Sztandar Robotniczy“. Zagranicą zaś obok „Związku socyalnych demokratów rosyjskich“ i przedstawicieli organizacyi „Sztandaru Robotniczego“ rozwija działalność „Rewolucyjna organizacya Socyalny Demokrata“, posiadająca własne grupy w kraju (jak np. uralska, ufimska i t. d.). Oprócz tych grup socyalnodemokratycznych można wymienić cały szereg innych — socyalistycznych i rewolucyjnych, nie godzących się na program socyalnej demokracyi. Na pierwszym miejscu należy tu postawić „Związek socyalistów rewolucyonistów“*), następnie różne grupy starych i młodych epigonów „Narodnej Woli“, dalej „Agrarnosocyalistyczną Ligę“, organizacyę „Fnduszu Wolnej Prasy rosyjskiej“ i t. d. Należy też zaznaczyć, że jedyne regularnie wychodzące obecnie rosyjskie czasopismo rewolucyjne — „Nakanunie“ — nie jest organem żadnej z powyżej wymienionych organizacyi.

Jakkolwiek wszystkie te partye, partyjki, grupy i grupki uznają niezbędność połączenia ogółu sił socyalistycznych w jedną całość, to jednak niektóre z nich tak się różnią w swych poglądach zasadniczych na kwestye programu i sprawy taktyki od reszty, że niepodobna nawet myśleć o zlaniu się ich z innemi. Można mówić o zlaniu się chyba tylko grup socyalnodemokratycznych, stanowiących obecnie zresztą większość w socyalistycznym obozie rosyjskim.

Otóż „Socyalnodemokratyczna Partya Rosyi“ posiada aspiracye do reprezentowania całości ruchu rosyjskiego i do połączenia w ramach swej organizacyi wszystkich grup socyalnodemokratycznych, działających w kraju.

W r. 1898-ym odbył się zjazd przedstawicieli kilku istniejących „Związków Walki o oswobodzenie klasy robotniczej“ oraz „Bundu“ żydowskiego; na tym zjeździe założono właśnie powyższą partyę i uznano „Gazetę Robotniczą“ za organ centralny. Tymczasem wkrótce się już pokazało, że cała robota była przedwczesną. Ani jeden Nr centralnego organu partyi nie wyszedł, a związek pomiędzy poszczególnymi komitetami portyi pozostał tak samo luźny, jak przedtem pomiędzy całkiem odrębnemi organizacyami; nie mówimy już o tem, że poglądy programowe i taktyczne prawie każdego z komitetów miejscowych pozostały bez zmiany, pomimo wypracowania ogólnopartyjnego programu. Wielkie aresztowania co pewien odstęp czasu niszczyły nawiązujące się nici łączności pomiędzy oddzielnymi komitetami partyi i dziś ogólna sytuacya partyjna jest o mało co lepsza aniżeli przed zjazdem r. 1898-go.

Jeśli pominiemy „Bund“ żydowski jako organizacyę, działającą wyłącznie na ziemiach dawnej Polski, to zobaczymy, że Socyalnodemokratyczna Partya Rosyi rozwija swą działalność w głównych punktach przemysłowych Wielkiej i Małej Rusi. Obecnie istnieją następujące Komitety Partyi: petersburski, moskiewski, iwanowowozniesieński, charkowski, kijowski, jekaterynosławski, doński i odeski. Niektóre z tych komitetów, jak odeski, charkowski lub iwanowowoznie-

*) O programie i taktyce tej partyi damy specyalny artykuł w jednym z najbliższych NN „Przedświtu“ (*Red*).

sieńsk są jeszcze bardzo świeżego pochodzenia. Nie potrafiły jeszcze rozwinąć szerszej działalności, a ostatnie aresztowania w Charkowie i Iwanowo-Wozniesieńsku, jak się zdaje, zadały ciężkie ciosy młodej organizacyi.

Własne organy posiadają trzy komitety: petersburski („Myśl Robotnicza“), kijowski („Naprzód“) i jekaterynosławski („Robotnik Południowy“). W organach tych najjaskrawiej odźwierciedla się niejednolitość ruchu rosyjskiego i poglądów jego przywódców. Kiedy „Robotnik Południowy“, wychodzący na dalekiej prowincyi, na kresach Rosyi, posiada barwę wybitnie polityczną, ogarnia szerokie horyzonty całości ruchu robotniczego i uważa ruch miejscowy jedynie za część ogólnorosyjskiego ruchu, to „Myśl Robotnicza“ najzupełniej jest pozbawiona wszystkich tych cech i reprezentuje lokalne interesy całkiem jeszcze nie uświadomionych mas, a „Naprzód“ kijowski zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy jednym a drugim z tych organów. Najdziwniejszem jest to, że organ robotników stołecznych stoi najniżej, coby wydawało bardzo smutne świadectwo stanowi ruchu w Petersburgu. Sami towarzysze rosyjscy uznają zresztą brak ten. „Jeśli petersburskiemu Związkowi walki nie uda się zmienić całego charakteru „Myśli Robotniczej“ i uczynić z niej wszechstronnego, wyraźnego organu, energicznie przyczyniającego się do podniesieniu politycznego poziomu ruchu, w takim razie w Petersburgu ukaże się nowy organ miejscowy, zdolny do zapełnienia tej luki“ — pisze „Roboczeje Dieło“ — zagraniczny organ partyi.

Co do ogólnego stanu miejscowych organizacyi partyi, to, ma się rozumieć, trudno mówić o tem otwarcie ze względu na konspiracyjność tych spraw, ale i te szczegóły, jakie ogłaszają same organa partyi, nie pozwalają nam wyciągać wniosków zbyt optymistycznych. Najważniejszym z ogólnego punktu widzenia jest stan organizacyi partyjnej w stolicach — w Moskwie i jeszcze bardziej w Petersburgu, ponieważ z objawami ruchu w stolicach rząd najbardziej się musi liczyć, lekceważąc do pewnego stopnia nawet jaskrawsze i potężniejsze objawy jego gdzieś na prowincyi.

Otóż co do Moskwy, to ogólny stan ruchu w niej przedstawia się nad wyraz smutno. Według zdania pisma „Roboczeje Dieło“ ruch w Moskwie cofnął się wstecz i znowu powrócił do okresu kółek, pomimo, że się już był począł przekształcać w swoim czasie na masowy. Jestto skutek działalności prowokatorskiej Zubatowa, który, niestety, ze skutkiem zastosował taktykę Sudiejkina. W Petersburgu, jak o tem świadczy program i ustawa petersburskiego komitetu Socyalnodemokratycznej partyi Rosyi (ogłoszone w Nr. 4 pisemka „Listok Raboczawo Dieła“), towarzysze rosyjscy stawiają dopiero pierwsze kroki w kierunku założenia trwałej organizacyi partyjnej — i to w taki sposób, który bynajmniej nie chroni jej od rozkonspirowania i zniszczenia.

Jednem słowem w Rosyi widzimy obecnie tylko słabe zaczątki działalności w kierunku wytworzenie jednolitej siły partyjnej, na którą moglibyśmy rachować w naszej walce z caratem. Zapewne dużo jeszcze czasu upłynie, zanim taka siła powstanie — już nie formalnie tylko, jak to jest z Socyalnodemokratyczną Partyą Rosyi, która „nie posiadając Komiteta Centralnego nie może nawet prowadzić jakichś poważnych pertraktacyi z socyalistami innych narodowości o stosunkach wzajemych“ („Rab. Dieło“ Nr. 8 str. 50), ale całkiem realnie. Sam obszar Rosyi nasuwa trudności niesłychane, nie mówiąc już o całym szeregu innych...

B. P—in.

Z KRAJU I O KRAJU

Sprawy zaboru pruskiego

Zarząd P. P. S. zaboru pruskiego wydał następującą odezwę, która daje dokładny obraz dzisiejszego położenia naszej organizacyi i widoków jej na przyszłość:

„Szanowni Towarzysze! Do Was się udajemy, by Wam przedstawić dziś sprawę pierwszorzędnej dla nas wagi, sprawę nagłą i palącą, sprawę „Gazety Robotniczej“ i przyszłości ruchu naszego.

Wiadomo Wam, że gazeta nasza od początku swego założenia korzystała z pomocy materyalnej, udzielanej jej bezinteresownie przez partyę niemiecką, będąc jednocześnie i moralnie popieraną przez towarzyszy niemieckich wszędzie, gdzie się ku temu nadarzała sposobność. Jakkolwiek, wychodząc w Berlinie, nie mogła wywierać dostatecznie silnego wpływu na rozwój ruchu socyalistycznego w dzielnicach polskich, na Śląsku i w Poznańskiem; ruch ten przecież jej właśnie zawdzięcza swój początek i zwolna, ale ciągle czynił postępy, a jednocześnie zwiększała się ilość abonentów gazety. W ostatnich jednak latach postać rzeczy zmieniła się. Wprawdzie zarząd partyi niemieckiej w dalszym ciągu udzielał gazecie subwencyi (zasiłek pieniężny), ale ci z jej członków, którzy ponieśli agitacyę socyalistyczną na Śląsk i w Poznańskie, starając się rozwinąć ruch zawodowy pomiędzy proletaryatem polskim tych dzielnic — Dr. A. Winter i Gogowski (niemcy), jak również popierani przez nich Róża Luxemburg i Kasprzak — nie tylko że „Gazetę Robotniczą“ nie popierali, ale starali się wytrącić ją z ręki robotnika polskiego na korzyść organów partyi niemieckiej i z każdym dniem bardziej wrogie zajmowali stanowisko przeciwko programowi Polskiej Partyi Socyalistycznej, pod której sztandarem rozwijała gazeta swoją działalność. Doszło wreszcie do konferencyi poufnej między zarządem partyi niemieckiej z jednej, a zarządem Polskiej Partyi Socyalistycznej zaboru pruskiego z drugiej strony. Oskarżycielami byli: Winter, Gogowski i Róża Luxemburg. Pierwszym punktem oskarżenia była sprawa Kasprzaka, który przed laty dziesięciu został za rozmaite wykroczenia partyjne wykluczony z ruchu polskiego pod zaborem rosyjskim i wykluczenie to zostało wówczas zgodnie i solidarnie przyjęte przez zabór pruski i austryacki. Niezależnie od tego tenże Kasprzak został po raz drugi wykluczonym z naszej partyi pod zaborem pruskim w r. 1897, za wrogie występowanie przeciw naszej organizacyi partyjnej.

Gdy na zapytanie jednego z członków niemieckiego zarządu, dla czego Kasprzak jest wykluczony, towarzysz Morawski a następnie Merkowski i Berfus wyłuszczyli wszystkie motywy, zarząd partyi niemieckiej oświadczył, że co się działo za granicą, partyę niemiecką nie obchodzi, a w tutejszym zaborze Kasprzak nie dał powodu do wykluczenia. Ponieważ w granicach Niemiec istnieje jedna jedyna samodzielna partya socyalistyczna — partya niemiecka, a polska organizacya jest tylko częścią składową tej ostatniej, tak samo jak organizacye powiatowe, prowincyonalne lub krajowe: bawarska, saska itp., przeto wyrok wydany przez Polską Partyę Socyalistyczną zaboru pruskiego uznaje się za nieważny, gdyż ostateczne i decydujące słowo w podobnego rodzaju wypadkach wypowiedzieć ma prawo tylko partya niemiecka, resp. najwyższa jej instancya — Zjazd Partyjny Niemiecki.

Drugi punkt oskarżenia dotyczył „Gazety Robotniczej“. Róża Luxemburg, Dr. Winter i Gogowski zarzucali tej ostatniej, że zajmuje się frazesami narodowymi zamiast agitacyą socyalistyczną, że polityczny kierunek gazety nie odpowiada intencyom ani potrzebom towarzyszów śląskich i poznańskich, którzy dążenie do niepodległości uważają tak samo jak ona (Róża Luxemburg) za utopię, nie zaś za polityczne zadanie proletaryatu. Dotychczasową przeto działalność gazety uważają za zgubną, ponieważ zamiast wychowywać uświadomionych socyal-demokratów, „godnych“ członków niemieckiej partyi, wychowała swych czytelników na socyal-patryotów, którzy do tego już doszli, że wołają (o zgrozo!): Niech żyje wolny polski lud! Nie odpowiada więc gazeta wymaganiom partyi niemieckiej i subwencyę od zarządu pobiera niesłusznie, — cofnąć ją zatem należy, lub gazetę oddać w ręce innych kierowników, pod kontrolą towarzyszy niemieckich.

Odpowiedź zarządu Polskiej Partyi Socyalistycznej była ostra i stanowcza. Odpierając niegodne zarzuty i oszczerstwa, oświadczyliśmy, że od dotychczasowego kierunku politycznego nie odstąpimy ani na krok i gazety z rąk swych nie wydamy. Zarząd niemiecki na razie nie powziął żadnej decyzyi, zostawiając sobie czas do namysłu; dopiero 7 go Grudnia otrzymaliśmy zawiadomienie, że w najkrótszym czasie będzie wydawana przy „Gazecie Robotniczej“ gazeta zawodowa, sama zaś „Gazeta Robotnicza“ przeniesioną ma zostać na Śląsk (tu wymieniono proponowane miejscowości) lub do Poznania. „Towarzysze“ śląscy i poznańscy życzą sobie zmiany redakcyi, proponując na to stanowisko Kasprzaka i Różę Luxemburg. Następnie zapytują nas, co sądzimy o tych projektach? Odpowiedzieliśmy, że na przeniesienie gazety na Śląsk zgadzamy się najchętniej, ale na proponowaną zmianę redakcyi nie przystaniemy nigdy, ponieważ kandydatury te nie wychodzą od czytelników i abonentów „Gazety Robotniczej“, lecz od tych samych wrogich nam jednostek. Na to znów otrzymaliśmy odpowiedź, że ponieważ nie ma zgody między towarzyszami polskimi (t. j. między nami a Różą Luxemburg i jej adherentami), przeto zarząd partyi niemieckiej dotychczasową subwencyę „Gazety Robotniczej“ cofa i o przeniesieniu jej nic wiedzieć nie chce.

Dalecy jesteśmy od tego, ażeby z powodu postanowienia zarządu partyi niemieckiej czuć jakąś urazę do towarzyszy niemieckich. Nie zapominajmy, że to nasi właśni warcholi, w pierwszym rzędzie Róża Luxemburg, zapewniali Niemców, że subwencya ich idzie na marne, że ruch nie postępuje a nadewszystko spaczony jest tendencyami obcemi a nawet wrogiemi dla klasowego socyalizmu. Zła wola lub ograniczenie umysłowe kilku jednostek, nie będących w stanie zrozumieć, jak ciężką zaporą na drodze do wyzwolenia polskiego proletaryatu jest jego niewola polityczna i rozstrzelenie sił i środków; — jednostek, które zetknąwszy się z naszym ruchem, dołożyły wszelkich starań, aby oczernić go w oczach zarządu partyi niemieckiej, sprawiły, że pod zaborem tutejszym pozostawieni jesteśmy nadal naszym własnym siłom. Dla samodzielności naszego ruchu, dla godności naszej jako odrębnej grupy w wielkiej międzynarodowej rodzinie proletaryatu, zmiana ta może być tylko pożądaną. Ale zadaniem naszem musi być dzisiaj dowieść, że samodzielność tę i pod zaborem pruskim posiadamy istotnie, że mamy prawo wymagać, aby się z nami liczono. I, tak sama siła wypadków narzuca nam rolę, której sprostać, której podołać musimy.

Agitacya jednostek, wysłanych w dzielnice polskie i utrzymywanych przez partyę niemiecką, ma oczywiście na celu objęcie ruchu organizacyjnie na rzecz tejże partyi niemieckiej, dążąc tem samem do zerwania łączności tutejszego polskiego proletaryatu z polskim proletaryatem innych zaborów. Innemi słowy, widocznie towarzysze niemieccy nie mają nic przeciwko „Selbsbestimmungs-

rechtowi“ (prawo decydowania o samym sobie) wstosunku do innych zaborów, lecz co do zaboru pruskiego są cokolwiek innego zdania. Mamy tu więc do czynienia z pewnego rodzaju hakatyzmem w socyalistycznem wydaniu. Jeżeli oficyalnie, jako międzynarodowi socyaliści, nie mogą nie uznać w zasadzie „Selbstbestimmungsrecht“u, to jednak do urzeczywistnienia programu politycznego Polskiej Partyi Socyalistycznej, t. j. niepodległej Polski ludowej wszystkich trzech zaborów, ręki przykładać nie chcą, co dowodzi właśnie, że w gruncie rzeczy z nami się na tym punkcie nie solidaryzują. Bo intrygi Luxemburżanki et consortes nie znalazłyby tak łatwo posłuchu u partyi niemieckiej, gdybyśmy w zarządzie tejże partyi posiadali tak szczerych przyjaciół naszego programu, jakim był Liebknecht, lub tak doskonałych znawców naszych i międzynarodowych stosunków, jak Kautsky. Z powyższego przedstawienia rzeczy jasno wypływa, że ruch robotniczy tutejszy może być przez źle zrozumianą działalność towarzyszy niemieckich, w spółce z naszymi warchołami, spaczony.

Aby sprostać naszemu zadaniu, musimy pod grozą odpowiedzialności dziejowej rozwinąć spotęgowaną własną naszą działalność pomiędzy proletaryatem polskim. W tym celu jaknajprędzej i bezwarunkowo przeniesioną być musi „Gazeta Robotnicza na Śląsk; musimy prócz tego utrzymać stałego agitatora, aby módz popchnąć ruch na szersze tory. Cel ten niewątpliwie osiągniętym być może w krótkim czasie. Ludzi odpowiednich, gotowych na usługi partyi mamy, lecz brak nam funduszów, bez których największy nasz zapał na nic się nie przyda. Przeżywając tak ważną i krytyczną chwilę, uważamy za swój święty obowiązek, zwrócić się do całego socyalistycznego ogółu wszystkich zaborów i emigracyi z wezwaniem o pomoc materyalną. Wierzcie nam, kochani Towarzysze, że poparcie naszego ruchu w obecnej przełomowej chwili jest jedną z najważniejszych spraw, stojących na porządku dziennym polskiego ruchu socyalistycznego. Niech każdy da co może, a nawet więcej niż może! Pamiętajcie, że z tego zasiewu będzie obfity plon!

Żywimy niezłomną nadzieję, że Towarzysze dołożą wszelkich sił i starań, aby i na innej drodze zbierać dla nas fundusze. Pamiętajcie nieustannie, że wolno nam liczyć tylko na własne siły.

Oby nadzieje, jakie pokładamy w ofiarności Waszej, Towarzysze, dla naszej wspólnej sprawy nie zawiodły nas! Wszelkie datki upraszamy nadsyłać jaknajprędzej na ręce kasyera partyjnego, towarzysza St. Thiel, Britz-Berlin, Jahnstr. 3.*)

Zarząd Polskiej Partyi Socyalistycznej.

Berfus. Biniszkiewicz. Merkowski. Morawski. Thiel.

* * *

Subwencya niemiecka zostanie odebrana „Gazecie Robotniczej“ od 1-go kwietnia, to też już teraz towarzysze nasi w zaborze pruskim muszą spotęgować swą energię i ofiarność, ażeby jaknajprędzej wprowadzić w życie postanowienie przeniesienia „Gazety Robotniczej“ na Górny Śląsk i wogóle wytworzyć nareszcie *krajowy* ośrodek ruchu.

Już teraz daje się zauważyć pewne ożywienie wśród naszych towarzyszy w zaborze pruskim. Podczas świąt Bożego Narodzenia paru towarzyszy wybrało się z Berlina do kraju w celu bliższego poznania nastroju mas robotniczych i przekonało się, że dotychczasowa praca „Gazety Robotniczej“ dostatecznie przygotowała grunt dla systematycznej roboty organizacyjnej na miejscu, i że wpływom P. P. S. starają się zapobiedz żywioły warcholskie, systematycznie okłamujące nieświadomych spraw naszych towarzyszy niemieckich.

*) Redakcya „Przedświtu“ chętnie pośredniczy w zbieraniu tych składek.

Na Górny Śląsk wyjechał był tow. Sosna, który przekonał się, że daje się tam zaznaczyć wielki postęp. Nie tylko w okręgu przemysłowym, ale nawet w najodleglejszych zakątkach kraju ludzie interesują się so yalizmem i traktują go z sympatyami. Co do wpływów dr. Wintera, to te są bardzo słabe, gdyż nietaktownem swem zachowywaniem się pozrażał nawet swoich zwolenników — i to nie tylko wśród polaków. Wśród proletaryatu polskiego wszystkie uświadomione jednostki stoją przy „Gazecie Robotniczej“. Na żądanie większej liczby towarzyszy z okręgu katowickiego tow. Sosna udał się do Wintera i przedstawi mu cały stan rzeczy, poddając krytyce jego postępowanie hakatystyczne. Kiedy to nie pomogło, wybrało się do Wintera już więcej towarzyszy, ale kiedy i to nie poskutkowało, powstało wielkie rozgoryczenie. W rezultacie towarzysze śląscy udali się do partyi niemieckiej z żądaniem usunięcia tego pana ze Śląska.

Do Poznania pojechali z Berlina tow. Biniszkiewicz i Grześkowiak. Tu znaleźli gniazdo przeciwników P. P. S. i „Gazety Robotniczej“. Robotnicy mularze, stolarze i cieśle skarżyli się, że miejscowi socyaliści nie dają im „Gazety Robotniczej“ pomimo żądań, a wciskają wydawnictwa niemieckie. Wobec tego panuje bardzo wielkie niezadowolenie z obecnych głowaczów ruchu w Poznaniu, bo, właściwie mówiąc, o żadnej poważniejszej robocie tu niema mowy — zebrania poza ściśle zawodowemi nie odbywają się, nikt nic nie czytuje a szkalowanie P. P. S. nie może robotnikom wystarczyć za wszystko.

Tow. Biniszkiewicz wystąpił na wiecu, zwołanym przez ludowców z powodu rozporządzeń Studta i mową swą, trzymaną w duchu programu P. P. S. wywołał wielkie wrażenie, tak, że organ ludowców — „Orędownik“ poświęcił jej kilka artykułów, wyciągając w końcu wniosek, iż tacy socyaliści, jak Biniszkiewicz, są najbardziej niebezpieczni, gdyż z walką o lepszą dolę dla robotnika łączą obronę jego narodowości.

Warcholstwo poznańskie zapragnęło koniecznie obdarzyć klub socyalistyczny w parlamencie niemieckim osławionym Kasprzakiem, wysuwając jego kandydaturę na posła, w miejsce zmarłego Mottego, z okręgu poznańskiego. Rozpoczęto więc agitacyę za nim, rozrzucając odezwy pomiędzy ludnością. Postano wiono podobno dla nastraszenia przeciwników sprowadzić do Poznania Różę Luksemburg.

Pewna część towarzyszy poznańskich zaprotestowała przeciwko kandydaturze Kasprzaka i oświadczyła się za tow. Morawskim z Berlina. Ten ostatni jednak, nie chcąc wprowadzić do szerszych mas rozdźwięku i wywoływać zgorszenia, zrzekł się kandydatury z prośbą, ażeby „ci Towarzysze poznańscy, którym sumienie i uczciwość na renegata i wroga socyalistów polskich głosować nie pozwoli“, wstrzymali się od głosowania.

* * *

Od 1-go kwietnia ma w Poznaniu wychodzić polskie pismo zawodowe. Donosi o tem „Volkswacht“ wrocławska, nie podając bliższych szczegółów ani o tem, kto będzie wydawcą, ani kto ma je redagować. Przy sposobności musimy z przykrością zaznaczyć, że „Volkswacht“ w ostatnich czasach (zapewne pod wpływem Wintera) poczęła uprawiać wstrętny hakatyzm wobec socyalistów polskich. Oto co np. pisze z powodu zamiaru przeniesienia „Gazety Robotniczej“ na Górny Śląsk: „...szczęścia z tem mieć nie będą, bo tam pracuje trzeźwa i poważna niemiecka socyalna demokracya i dlatego dla polskich dyletantów tam miejsca niema“.

Rozumie się, że takie nietaktowne wybryki nie przynoszą zaszczytu pismu socyalistycznemu, ani nie przyczyniają się do utrwalenia solidarności pomiędzy robotnikami polskimi a niemieckimi. Radzimy towarzyszom naszym nie

zwracać uwagi na postępowanie ograniczonych jednostek i nie kłaść nigdy tych wybryków na karb całego stronnictwa, któremu tyle zawdzięczamy. Rzetelna i skuteczna praca z naszej strony najlepiej zapobiegnie tak wszelkim objawom warcholstwa, jak i socyalhakatyzmowi winterowskiemu.

Sojusz ludowców ze stojałowczykami

W parę dni po wyborach z kuryi IV, kiedy pokazało się, że wszyscy inteligentni przywódcy obydwóch stronnictw chłopskich poprzepadali, został zapoczątkowany sojusz stronnictwa ludowego ze stojałowczykami. Ostatnie układy zostały doprowadzone do skutku 28 grudnia w Krakowie, kiedy odbyła się wspólna konferencya członków rady naczelnej stronnictwa ludowego z delegatami partyi chrześciańsko-ludowej (stojałowczyków). Na tej wspólnej konferencyi ustalono tekst odezwy zjednoczonych „stronnictw ludowych“ i omówiono szczegóły taktyczne.

Ze względu na doniosłość tego faktu podajemy uchwaloną odezwę, zamieszczoną w „Przyjacielu Ludu“ oraz „Wieńcu — Pszczółce“, dosłownie.

„Pragnąc położyć kres sporom i walkom od dawna lud jątrzącym, z których tylko pożytek dla przeciwników i gnębicieli urastał, po bezprzykładnej grabieży obywatelskich praw ludu przy ostatnich wyborach, przekonani, że jedynie złączywszy i wytężywszy siły, podołamy skutecznie bijącej w nas przemocy stańczyków i klerykałów, czyniąc wreszcie zadość powszechnemu gorącemu życzeniu uświadomionego ludu,

postanowiliśmy — my podpisani imieniem stronnictw ludowych, a mianowicie stronnictwa ludowego i stronnictwa chrześciańsko-ludowego, utworzyć nierozerwalną spójnię naszych stronnictw pod nazwą „Zjednoczenie stronnictw ludowych“, aby razem walczyć o lepszą dolę ludu pracującego, a to na następujących podstawach:

1. Każde stronnictwo zatrzymuje i nadal swój szczegółowy program i swój odrębny zarząd, lecz w sprawach, które nie są sporne, i w taktyce porozumiewają się stale oba stronnictwa i działają razem według wspólnego planu, ku czemu służyć ma wspólny organ wykonawczy, „wydział zjednoczenia stronnictw ludowych“, składający się z przedstawicieli obu stronnictw.

2. Dla usunięcia raz na zawsze wszelkich wątpliwości i dla odparcia nieusprawiedliwionych zarzutów, między ludem rozsiewanych, stwierdzamy następujące, wspólne nam, główne zasady:

I. Pod względem narodowym.

Jako polacy nie tylko żyjemy nadzieją samodzielności politycznej polskiego narodu, lecz uznajemy tę niezależność jako nasze przyrodzone, a więc nienaruszalne prawo. Za najbliższe zadanie i obowiązek pracy dla przyszłości Ojczyzny uważamy obudzenie w ludzie poczucia narodowego i obywatelskiego. Bronić będziemy wytrwale praw narodu polskiego. Z ludem rusińskim chcemy braterskiego porozumienia, na podstawie wszechstronnego i bezwzględnego równouprawnienia.

Politykę układów z prześladowcami narodowości polskiej, poświęcającą żywotne interesy narodu dla korzyści pewnej warstwy, uznajemy za szkodliwą i jako taką stanowczo potępiamy.

II Pod względem politycznym.

Żądamy bezwarunkowego poszanowania ze strony organów rządowych swobód, zagwarantowanych ustawami kontytucyjnemi. Protestować nie przestaniemy jaknajenergiczniej przeciw wszelkim pogwałceniom ustaw, przeciw pogwałceniu wolności obywatelskiej, przeciw bezprawiom i nadużyciom. Żądamy

równych praw politycznych dla wszystkich obywateli, a gdy podstawą tej równości jest równe prawo wyborcze, domagamy się równego, bezpośredniego, tajnego, powszechnego prawa głosowania ze zniesieniem kuryi, a to zarówno przy wyborach do Rady państwa, jak do sejmu, do Rad powiatowych i gminnych.

III. Pod względem społecznym.

Potępiamy stanowczo dzisiejszy ustrój społeczny, wyzyskujący i poniżający pracę, a nadający przywileje i przewagę kapitałowi. Nie podzielając zapatrywań socyalnej demokracyi co do ostatecznego ukształtowania społeczeństwa, żądamy jednak ciągłej naprawy istniejących stosunków w kierunku ochrony pracujących i ich udziału w pożytkach pracy. Szczególniej domagamy się pomocy dla zaniedbanego dotąd rolnictwa i troskliwej pieczy nad interesami robotników i rękodzielników.

IV. Pod względem religii.

Zasada religii chrześciańskiej, głosząca miłość bliźniego, jest jedyną zdrową podstawą społecznego życia ludzkości i jej rozwoju. Religia chrześciańska, zaszczepiając w społeczeństwo wzniosłe zasady moralności prywatnej i publicznej i stając w obronie uciśnionych i pracujących, jest doskonałym wyrazem społecznej sprawiedliwości. Jako stonnictwa ludowe dążyć będziemy do tego, by duch chrześciańskiej, braterskiej miłości i sprawiedliwości przeniknął ustawodawstwo i wszystkie polityczne i społeczne stosunki.

Natomiast zwalczać musimy i nadal uroszczenia pewnej części galicyjskiego duchowieństwa, która z tytułu swego stanowiska narzucać chce naszemu ludowi sposób myślenia w sprawach świeckich i zagarnąć władzę świecką dla siebie, lub dla stronnictwa konserwatywnego, gdyż postępowanie takie uznajemy za przeciwne zasadom chrześciańskim."

„Nowa Reforma" podała następujące szczegóły o tym sojuszu:

„Sojusz obliczony jest niejako na wzajemne nieprzeszkadzanie sobie w pracy agitacyjnej i przy wyborach, zwłaszcza przy zbliżających się wyborach do sejmu, tak, że każde ze sprzymierzonych stronnictw wystąpi przy nich z 14 kandydaturami. Sprawy wspólne załatwiać będzie wykonawczy komitet wspólny, złożony z 6-ciu członków, do którego ze strony stojałowczyków weszli pp.: dr. Włodzimierz Lewicki, Tomasz Szajer i ks. Stojałowski, ze strony zaś ludowców pp.: Rewakowicz, Wysłouch i Stapiński. Każde z dwu stronnictw będzie miało negatywny wpływ na mianowanie kandydatów poselskich przez stronę przeciwną. To znaczy, że jeśliby wszyscy trzej członkowie wspólnego komitetu wykonawczego imieniem jednego stronnictwa zaprotestowali przeciw jakiejś kandydaturze stronnictwa drugiego, jest ono zobowiązane do postawienia nowej, innej kandydatury. Dodać wreszcie należy, że ani stojałowczycy, ani posłowie stronnictwa ludowego *do Koła polskiego nie wstąpią.*"

Co do odezwy, to, pomijając ogólnikowość jej punktu społecznego, robi ona dobre wrażenie. Przedewszystkiem zamarkowana została dążność do „samodzielności politycznej polskiego narodu", co wyklucza najzupełniej wszelkie tendencye carofilskie, tak jaskrawe w działalności Stojałowskiego. Następnie zupełnie wyraźnie postawiono żądanie powszechnego głosowania tak przy wyborach do parlamentu, jak i do sejmu. Ogólnikowe podkreślenie „zasad chrześciańskich" w połączeniu z wypowiedzeniem nieubłaganej walki klerykalizmowi też żadnej szkody nie przyniesie. Jeśli co budzi w nas pewne wątpliwości, to nie treść odezwy, ale dobór osobistości, mających pilnować przestrzegania zasad, wypowiedzianych w odezwie.

Z jednej strony do „komitetu wspólnego" należą: pp. Rewakowicz, Wysłouch i Stapiński — ludzie, na których poglądy i taktykę można się nie godzić, ale których niepodobna nie uważać za uczciwych i szczerych działaczy politycznych. Z drugiej — widzimy w nim Stojałowskiego, Lewickiego i Szajera.

Ten ostatni znanym jest głównie jako indywidyum stale nietrzeźwe, zresztą jestto manekin w ręku Stojałowskiego.

Co do tego jednak, to nie możemy w żaden sposób uwierzyć, ażeby raptem pozbył się wszystkich tych cech i narowów, którymi dotychczas się odznaczał. Zacięty moskalofila, człowiek, któremu udowodniono stosunków z żandarmeryą warszawską, oszust polityczny w najgorszym gatunku, zdradzający i okpiwający wszystkich swoich sojuszników i przyjaciół, dziś zwalczający stańczyków, jutro biorący od nich pieniądze — demagog ten nie daje żadnej rękojmi dotrzymania umowy.

Jeszcze gorzej się przedstawia dr. Włodzimierz Lewicki, jedna z najwstrętniejszych kanalii, spłodzonych w błocie korupcyi politycznej zaboru austryackiego. Niegdyś czerwony postępowiec, był już — w pogoni za mandatem — członkiem wszystkich bez mała stronnictw, aż w końcu spoczął w redakcyi „Głosu Narodu". Kiedy dzienniki podały wiadomość, że toczą się w Krakowie ściśle poufne rokowania między przywódcami ludowców a przywódcami stojałowczyków w sprawie zawarcia sojuszu i że w tych rokowaniach imieniem stojałowczyków między innymi bierze udział współpracownik „Głosu narodu" dr. Włodzimierz Lewicki, „Głos narodu" natychmiast zaprzeczył tej wiadomości, zapewniając, że dr. Lewicki bierze w tych poufnych obradach udział wyłącznie „w charakterze dziennikarza". W „uwagach" niedzielnych „Głosu narodu" oświadczył Ehrenberg kategorycznie, że jego „sympatyczny kolega redakcyjny" Lewicki nic nie ma wspólnego z ks. Stojałowskim, ani z sojuszem stojałowczyków i ludowców. W numerze sylwestrowym organu Ehrenberga pojawiła się napaść na wymieniony sojusz, jako na „spółkę nienawiści i rozstroju". W tym samym dniu ukazał się manifest tej „spółki nienawiści i rozstroju", a między podpisami, umieszczonymi na tym manifeście, ujrzeliśmy — o dziwo! — podpis dra Włodzimierza Lewickiego, „sympatycznego kolegi redakcyjnego" z „Głosu narodu" i to jako członka komitetu stronnictwa księdza Stojałowskiego! W numerze „Głosu narodu" z 2 bm. znajdujemy napaść na powyższy manifest i na osoby na nim podpisane, ale podpis dra Włodzimierza Lewickiego jest dyskretnie przemilczany.

Cóż mamy sądzić o podobnem postępowaniu? Wobec tego musimy cały ten sojusz traktować jako sprawę bardzo podejrzaną i mogącą ludowi polskiemu w Galicyi przynieść wielkie straty.

* * *

Strejk górników w Borysławiu.

W kopalni wosku Banku kredytowego w Borysławiu stosunki były nie do wytrzymania. Stamtąd wychodziło najwięcej kalek, tam najbezczelniej okradano robotnika przy odprawach z kasy brackiej, tam zmuszano go karami do pracy w niedziele i święta, tam wreszcie sztygarzy postępowali z górnikami nie jak z ludźmi, lecz jak z bydłem roboczem. A potulni robotnicy przyjmowali to wszystko z rezygnacyą. Wreszcie i im było tego za wiele.

Dnia 11 stycznia wieczór, gdy robotnicy zeszli się do pracy, z rozkazu dyrektora Gąsiorowskiego zamknięto poczekalnię i robotnicy musieli podczas trzaskającego mrozu stać na dworze. To dopełniło miary. Górnicy wrócili do domu i od tej chwili rozpoczął się strejk. Zebrani na poufnem zgromadzeniu dnia 12 bm. postawili miedzy innemi następujące żądania: podwyższenia płacy, nienakładania kar z powodu wstrzymania się od pracy w niedzielę, wyrzucenia z kopalni naganiacza Bochniewicza i wiele innych. Dyrektor Gąsiorowski, po starawszy się o żandarmeryę ze Schodnicy i Drohobycza i obstawiwszy nią kopalnię i prywatny swój dom, powiedział delegatom górników, iż na warunki te zgodzić się nie może. Wobec tego odbyło się popołudniu drugie zgromadzenie

górników, na którem zapadła uchwała, iż do pracy dopóty nie powrócą, dopóki kopalnia nie zgodzi się na ich żądania.

Strejk długo trwać nie mógł, albowiem woda, wydobywająca się wewnątrz, zalałaby wszystkie szyby i poniszczyła kilkuletnią pracę na całej kopalni. Wobec tego wszystko zależało od solidarności i wytrzymałości robotników.

Dyrektorowie kopalń pozielenieli ze złości na wieść o strejku. W tem „piekle galicyjskiem“, gdzie do niedawnych czasów robotnik był zwierzęciem roboczem, wybuchł strejk, robotnicy walczą o lepszą dolę. To też dyrektorowie i ich satelici wytężyli wszystkie siły, by go stłumić. Rozszerzali tendencyjnie fałszywe wieści, że górnicy psują przyrządy kopalniane, że mają zamiar napaść na kopalnię i tym podobne głupstwa, by zyskać od starosty interwencyę wojskową.

Ze Lwowa telegrafowano, by kopalnia zażądała wojska. Wynajęto bandy drabów, którzy napadali na strejkujących. To jednak nie potrafiło robotników złamać. Strejkujący zachowywali wzorowy spokój i porządek, mimo to jednak sprowadzono do Borysławia 26 żandarmów, którzy dniem i nocą krążyli po Borysławiu. Dnia 12 stycznia udała się deputacya robotników do dyrektora Gąsiorowskiego, przedkładając mu warunki, na których mogą do pracy powrócić. Gąsiorowski jednak nie pozwolił na przedłożenie warunków przez tow. Nowaka, jako nie pracującego w kopalni, robotnicy zaś nie chcieli pertraktować przez kogo innego — wobec czego na razie do zgody nie przyszło. Wieczorem tego samego dnia komisarz starostwa i komisarz urzędu górniczego wezwali tow. Nowaka, oraz kilku delegatów górniczych, by ci przedłożyli żądania strejkujących. Mimo, że żądania górników nie były wygórowane, rokowania rozbiły się o opór dyrektora. Na nic się również nie przydały przetraktacye z delegatami strejkujących dnia 13 stycznia, na których pośredniczyli: starosta drohobycki Bobrzyński, radca górniczy Weber i ks Gromada. Dyrektor Gąsiorowski zmiękł wprawdzie i zgadzał się na wszystkie warunki, tylko nie na podwyższenie płacy, t. j. na najważniejsze żądanie strejkujących. Z tego też powodu górnicy postanowili dalej strejkować. Robotnicy otrzymywali dotychczas w kopalni Banku kredytowego tak liche płace, iż wprost wyżywić się nie byli w stanie. Wobec tego też postanowili tak długo strejkować, dopóki najważniejsze ich żądanie nie zostanie uwzględnionem.

Po trzech dniach strejk został ukończony zwycięstwem robotników. Dnia 14 stycznia przyjechał ze Lwowa dyrektor banku kredytowego Tołłoczko i po wielu pertraktacyach przyszło wreszcie do obopólnej ugody, mocą której robotnicy powrócili do pracy. Dyrekcya kopalni przyjęła prawie wszystkie warunki przez robotników stawiane, a mianowicie: 1. za strejk nie może być nikt z robotników w ciągu 3 miesięcy wydalony, ani też karany; 2. w niedzielę ma być praca w kopalni do najkonieczniejszych robót ograniczona; 3. statuty kasy brackiej mają być zmienione; 4. wszystkie kategorye robotników zostaną na trzy klasy podzielone, z podwyższeniem dotychczasowych płac; 4. podwyższenie płac ma wejść w życie z dniem 1 lutego br.; 6. urzędnicy, źle traktujący robotników, mają być do odpowiedzialności pociągani; 7. robotnicy, pracujący na powierzchni, mają mieć dwugodzinną przerwę i t.d.

*
* *

Wybory w Cieszyńskiem

Jak to było do przewidzenia, wybory z V kuryi w Cieszyńskiem skończyły się zwycięstwem socyalistów. Do walki stanęło czterech kandydatów: Sztwiertnia, wspólny kandydat polaków i czechów, a zarazem „Koła Polskiego“, Schröder, kandydat niemiecki, Cienciała, klerykał polski i nasz kandydat tow. Piotr Cingr, który już w poprzednim parlamencie reprezentował ten okręg. Za

naszym kandydatem oświadczyli się i postępowcy polscy, grupujący się dokoła „Głosu Ludu Śląskiego“. Kandydatura Cingra została i tym jeszcz razem uchwalona przez partyę naszą, gdyż jedyny odpowiedny, to jest dobrze znany na Śląsku, polak — tow. Tadeusz Reger — nie ma jeszcze 30 lat, więc nie może kandydować.

Przy pierwszm głosowaniu tow. Cingr otrzymał 244 głosy, Sztwiertnia — 197, Schröder — 149, Cieńciała — 6. Ponieważ nikt nie otrzymał absolutnej większości głosów, przeto zarządzono natychmiast głosowanie ściślejsze, przy którem Cingr otrzymał 342, Sztwiertnia 219, kiedy w r. 1897 Cingr otrzymał zaledwie 288 t. j. o 54 głosy mniej. Cieńciała zaś (ówczesny kontrkandydat Cingra) o 65 głosów więcej. niż Sztwiertnia obecnie.

Ciekawem jest zestawienie głosów, jakie otrzymał tow. Cingr przy pierwszem głosowaniu w tym roku, z danemi r. 1897

	rok 1897	rok 1901
Cieszyn	60	62
Bielsk	39	39
Frysztat	136	143
Przybyło więc głosów socyalistycznych		9

Przy ściślejszem głosowaniu Cingrowi przybyło 98 głosów. Ponieważ trudno przypuścić, ażeby 6 wyborców klerykała Cieńciały chciało poprzeć Cingra przeciwko Sztwiertni, przeto około 20 niemców musiało głosować za polskim konserwatystą przeciwko socyaliście, a 35 powstrzymało się zupełnie od głosowania.

Należy zaznaczyć, że w Cieszyńskiem nie było przy wyborach żadnych nadużyć.

Partya nasza wystawiła w tym roku kandydata i w IV kuryi — tow. Jana Stańka, rolnika z Łyżbic, nie mając, oczywiście, żadnej nadziei na jego przeprowadzenie, ale chcąc obliczyć postępy socyalizmu wśród ludności wiejskiej.

Walka w IV kuryi toczyła się pomiędzy dwoma kandydatami polskimi — osławionym drem Kreislem — redaktorem antyrobotniczej i jezuickiej „Gwiazdki Cieszyńskiej“ i drem Janem Michejdą, wybitnym działaczem patryotycznym starego pokolenia, protestantem z wyznania — oraz kandydatem niemieckim zniemczonym rolnikiem polakiem Chlebusiem.

Wybranym został Michejda, który otrzymał 334 głosy, Chlebuś zdobył 226 głosów, nasz kandydat 19, Kreisel zaś, pomimo szalonej agitacyi, zaledwie 11.

Warszawa, w Styczniu.

Kwestyą dnia w Warszawie jest dziś pytanie, kogo nam przyślą na kacyka. Następców wymieniają wielu: Woroncow-Daszkow, Musin-Puszkin, jen. Kosicz, znany ze swojej działalności jako protektor szkół niedzielnych i wogóle oświaty ludowej, i kilku innych jenerałów, a spodziewają się nawet mianowania wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Pewnego nic jednak niema i cała rzecz rozstrzygnie się po powrocie cara do Petersburga. Wraz z nowym kacykiem ma przybyć i nowy kurator, gdyż Zenger podał się do dymisyi. Powodem do tego miało być niezatwierdzenie przez ministerstwo oświaty planu jego reformy szkół średnich Królestwa, rozpoczynającej się od rozpędzenia na cztery wiatry blizko połowy obecnego personelu nauczycieli, inspektorów i dyrektorów.

Tymczasem u nas wszystko postaremu. Podgorodnikow bada stan włościan w komisyi, zwołanej w tym celu, i z przestrachom stwierdza na podstawie raportów i ankiet niższych władz administracyjnych, że przeszło 50% wsi nie ma uregulowanych serwitutów leśnych i pastwiskowych a w 7655 wsiach wcale do uregulowania nie przystąpiono. Po za tem — o zgrozo! — z raportów po-

licyi, wóitów i dyrekcyi naukowych okazuje się, że wśród umiejących czytać olbrzymia większość zawdzięcza umiejętność swoją zbrodni „tajnego nauczania“, którego wpływom „złośliwym“ ulega mniej więcej 33% ludności wiejskiej. Okropne! Zamierzono więc rozesłać cyrkularze z przepisami co do tej klęski i niebezpieczeństwa dla biednego chłopka polskiego, który w powijakach rzewnej opieki ojcowskiego rządu rosyjskiego ledwie zaczął przychodzić do siebie po tylu latach „potwornej“ niewoli „szlachetskoj“ i „ksiendzowskoj“. I na taki niezepsuty, dziewiczy, zahukany umysł, jacyś „propagandisty“ chcą trucicielsko działać, ucząc czytać i pisać — i to nie w ojczystym pięknym i miękkim rosyjskim języku, co by jeszcze uszło, ale w tym okropnym, tak przez chłopa znienawidzonym — polskim. To też pocznie się ruch nie lada pomiędzy szpiclami, żandarmami itp. kapłanami wszechrosyjskiej idei państwowej. Po za tem Podgorodnikow nie pozwala zapomnieć o sobie, podczas tradycyjnej np. „wstrieczi nowawo goda“, kiedy każdy uczciwy i „błahonadiożnyj“ „russkij czełowiek“ obwiązany jest upić się gruntownie, pobił się z komendantem Warszawy Komarowem. według zaś innych wersyi cisnął tylko w niego szklanką herbaty. Maładcy!

Z Kroż, słynnych z gwałtów moskiewskich siedm lat temu, nadeszła wiadomość o nowym czynie „boritielej“ prawosławia. Po długich staraniach uzyskano tam wreszcie pozwolenie na odnowienie starego kościoła, pamiętnego z 93 r. Składki zbierano dość ochoczo i w połowie stycznia doszły one do sumy 12 tysięcy rubli, które złożone zostały u miejscowego proboszcza. Otóż pewnej nocy ksiądz został zbudzony przez trzech zamaskowanych napastników. którzy zażądali od niego pieniędzy, argumentując słowa biciem. Proboszcz zaprowadził ich do szafy, gdzie miały leżeć pieniądze, lecz, otworzywszy ją. wyjął szybko rewolwer i dwoma strzałami położył trupem dwu napastników, poczem trzeci ratował się ucieczką. Jakież było zdziwienie ludzkie nazajutrz, gdy zabitymi okazali się miejscowy isprawnik i kasyer, w zbiegłym zaś poznano asesora powiatowego. Dodać należy, że kasyer namawiał przedtem księdzia do oddania pieniędzy na przechowanie, przyczem obiecał to załatwić bez żadnych ceregieli, do współki z isprawnikiem.

W początkach stycznia pomiędzy inteligencyą tutejszą nastąpiły nowe aresztowania. Wzięto w Warszawie lekarza Diuszato i studentów Bełkowskiego i Gniazdowskiego, w Lublinie dwu braci Gniazdowskich i w cukrowni Trawnickiej inżyniera Świdzińskiego. Przy jednym z aresztowanych znaleziono 500 egz. „Przeglądu Wszechpolskiego.“

13 Stycznia odbył się na Woli pogrzeb manifestacyjny jednego z towarzyszy piekarzy. Na pogrzeb przybył w odpowiedniem otoczeniu naczelnik straży ziemskiej. Podczas śpiewania „Czerwonego Sztandaru“ policya. której tępe głowy w żaden sposób nie mogą się dotychczas oswoić z tego rodzaju śpiewami. narobiła hałasu i chciała aresztować towarzyszy, idących na czele. Oczywiście nasi nie mieli ochoty pozwolić na to, stąd wywiązała się bójka, w której sam naczelnik i jego komenda porządnie oberwali. Jednakowoż po użyciu sprytnego manewru (pozornych aresztowań na kilku punktach) policyi udało się rozproszyć uwagę towarzyszy i szybko uprawadzić kilka osób, które z pewnością zostaną uznane za „rasporiaditielej“ zajścia. Warszawiacy skarżą się na tchórzliwe zachowanie się na tym pogrzebie towarzyszy z Woli, obowiązujących się targnąć na miejscowego naczelnika. Na przyszłość z pewnością będzie lepiej, początek zawsze nieszczególny, a to wszak dopiero pierwsza manifestacya na Woli.

Smutna rocznica 28 stycznia upłynęła spokojnie, bez aresztowań, pomimo licznie odbywających się zebrań robotniczych.

Ugodowcy tymczasem dopuszczają się coraz to nowych wybryków. Niedawno w Piotrkowie, polak, inspektor podatkowy, Chański, zaczął robić starania, ażeby utworzyć stypendyum imienia gubernatora piotrkowskiego Müllera, słynnego z rzezi

łódzkiej 92 r. i Huty Bankowej, i znanego obrusiticla. „Słowo“ bardzo prędko znalazło naśladowców.

A pismo to z zapałem, godnym lepszej sprawy, idzie raz obraną drogą. 9-ty numer tegoroczny przyniosł nam nowy dowód tego. Zawiera on zwyczajną denuncyacyę młodzieży gimnazyalnej, zwracając uwagę ogółu (a z nią rzecz prosta i władzy) na „podziemną robotą“ wśród uczniów, szerzenie się idei postępowych, prowadzających według niego „do lupa·arów i szynków“. Że też pan redaktor Godlewski raz już nie dostanie porządnej nauczki! Zawiele mamy rozsądku, no i młodzież także awanturować się nie lubi.

Zdanie to wyrwało mi się również i pod wpływem wrażenia, wywołanego wśród studenteryi warszawskiej zaburzeniami w uniwersytecie kijowskim, i oddaniem skutkiem nich 183 studentów „w sołdaty“. Wszystko to wywarło nadzwyczaj niewielkie wrażenie: żadnych zebrań, dysput — cisza i cisza.

Pomimo to jednak nasza „straż ogniowa“ zaczyna już wpływać na młodzież, aby przynajmniej poczekała z awanturami do mianowania generał-gubernatora i kuratora, plotka zaś już głosi po mieście szczegóły przyszłych „zaburzeń“.

Mimo ciężkich czasów nie zbywa na humorze naszym towarzyszom. Dowodem tego jest między innymi obiegająca wśród nas humorystyczna gazetka pisana p. t. „Oko, organ wesołych socyalistów“. Zawiera ona kilka świetnych dowcipów na czasie, tyczących się czy to powstania secesyi z P. P. S. czy to podróży „Imercia“ do nieba i trudności z ulokowaniem się w niem, rozstrzygniętych przez Jehowę na podstawie kursu papierów rosyjskich. Pomiędzy telegramami politycznymi są np. takie: „Petersburg — wyszedł ukaz o przyłączeniu do kraju Ojczystego, rdzennie russkiego kraju Mandżuryi, od lat kilkuset jęczącego w niewoli chińskiej“, lub „Pekin — Poseł rosyjski zaproponował, aby układy ze strony Chin prowadził zamiast Li-chun-Czanga, półkownik Li-cha-czew, mający z nim jednakie usposobienie i podobne nazwiska“. Obecny numer „Oka“ nosi numer 8. Życzyć by należało „wesołym socyalistom“, ażeby doszli do jakiejś maszyny, coby im odbijała „Oko“ w większej ilości egzemplarzy.

K—icz.

* * *

Wilno, w styczniu.

Dotychczas rozpowszechnionem jest mniemanie, jakoby gubernia Wileńska była krajem czysto rolniczym, o niezasługującym na uwagę przemyśle. Tymczasem w rzeczywistości dawno już tak nie jest. Wywóz zboża z naszych okolic dawno już ustał, ponieważ brakuje go nawet na zaspokojenie potrzeb miejscowych, i ludność gub. Wileńskiej konsumuje już zboże, przywożone ze wschodu lub z południa, albo się ucieka do spotęgowanej konsumcyi kartofli. W okresie czasu od r. 1888 do 1898 produkcya rolna gubernii naszej wzrosła tylko o 48%, kiedy przemysł fabryczny podskoczył o 114% i dziś ogólna suma produkcyi rolnej do przemysłowej znajduje się w stosunku 24 do 15,5. W r. 1878 w całej guberni Wileńskiej liczono fabryk — razem już wielkich i drobnych — 180 o 6 500 robotnikach z produkcya roczną 5.000.000 rs. Na początku zaś r. 1899 fabryk było 386 o produkcyi 15.000.000 rubli. Co do liczby robotników, to ta urosła do 10.000. Przeciętna wytwórczość fabryki w r. 1888 równała się 28.000, obecnie wynosi już przeszło 40.000 rubli.

Terytoryalnie przemysł nasz najsilniejszym jest w pow. Oszmiańskim, liczącym 83 fabryki. W miasteczku Smorgoniach, liczącem obecnie 15.000 ludności rozwinął się na wielką skalę przemysł garbarski. Mieści się tam około 30 garbarń. Drugim centrem garbarskim jest Wilno, w którem ogniskuje się też mnóstwo innych mniejszych i większych zakładów przemysłowych. Trzecim pod

względem rozwoju przemysłowego jest powiat Wilejski, a fabryka kos w samej Wilejce zdobyła już sobie powszechne uznanie nie tylko w kraju, ale i zagranicą — np. w Austryi.

Na ogół biorąc, przemysł gub. Wileńskiej nie posiada jakiegoś jednolitego charakteru. Obok garbarń i tartaków spotykamy fabrykę czekolady (ok. 150 rob.), trykotaży, mebli giętych, sukna, gwoździ, haftów, dachówek, kafli, papieru. W powiatach istnieje przeszło 70 gorzelni. Fabryk parowych jest 183, oprócz tego przeszło 20 zakładów przemysłowych posługuje się motorami gazowymi, benzynowymi lub naftowymi.

Jakkolwiek przeważająca większość (54%) zakładów przemysłowych należy do żydów, to jednak kapitał chrześciański wzrasta nieustannie, dzięki szlagoneryi miejscowej, lokującej gotówkę w przedsiębiorstwach różnego rodzaju. Szlagoni nasi jednak główną uwagę zwracają na przemysł rolniczy.

Co do robotników, to większość ich (70%) stanowią chrześcianie — resztę żydzi. Robotnicy fabryczni rekrutują się z drobnomieszczan miejscowych albo chłopów bezrolnych. Jest trocha robotników z Królestwa i niemców kurlandzkich. Królestwo i Kurlandya w znacznej mierze dostarczają majstrów. Wśród tych ostatnich jest pewna liczba niemców, zagranicznych poddanych. W ostatnich czasach daje się zauważyć przypływ robotników-wielkorusów, w nieznacznej zresztą ilości.*)

O poważnieszym, jednolitym ruchu robotniczym u nas nie ma mowy, dzięki chaotyczności stosunków organizacyjnych. Główne centrum naszego kraju —Wilno — od bardzo dawna było wystawione na oddziaływanie propagandy socyalistycznej, bardzo dużo wchłonęło wszelakiej bibuły, ale nie stało się ośrodkiem organizacyjnym ruchu socyalistycznego na Litwie. Dotychczas jeszcze panują tu różne kółka miejscowe o rozbieżnych celach, o małem zrozumieniu zadań politycznych ruchu robotniczego na Litwie. Jakiś czas zdawało się, że Socyaldemokracya Litewska, która dość energicznie zabrała się do pracy, potrafi wytworzyć ruch poważny, który z natury rzeczy wejdzie na tory normalne i złączy się z ruchem w Królestwie. Tymczasem masowe aresztowania przerłwały robotę S. D. L., a niedobitki tej organizacyi, chwiejąc się programowo w różne strony, zaprzepaściły i to, co było. Wówczas kiedy dziś resztki S. D. L. wegetują zaledwie, rozpanoszył się kierunek t. zw. „Związku Robotniczego“ — organizacyi bardzo słabej, ale pomimo to szkodliwej ze względu na tendencye centralistycznorosyjskie. Organizacya ta jest zresztą wprost narzędziem w ręku „Bundu“ żydowskiego i dąży do wcielenia się organicznego do Socyalnodemokratycznej Partyi Rosyi. Poważniejszego znaczenia nie posiada ze względu na swój warcholski charakter, ale szkodę przynieść może, mając ambicyę występowania w imieniu „Polski i Litwy“.

„Bund“ żydowski w Wilnie jest bardzo słaby. Tłómaczy się to prawdopodobnie tem, że najczynniejsza część inteligencyi żydowskiej dała się porwać syonizmowi i o niczem innem nie chce słyszeć.

Byłoby dobrze, gdyby P. P. S. zabrała się do zrobienia porządku w tutejszym ruchu robotniczym. Żywiołów, któreby za nią poszły, obecnie już nie brak.

Jak wiadomo, policya rosyjska u nas bardzo często wchodzi w konszachty ze złodziejami, koniodradami i rabusiami, tworząc z nimi organiczną całość. O faktach takich wie zwykle ludność miejscowa, ale zaradzić temu nie może,

---

*) Napływają tu t. zw. „bołtusznicy“ z gub. Kałuskiej — garbarze, wyrabiający „owczyny“. Osiadają na zimę, a potem wynoszą się do domu. Na wiosnę zjawiają się artele kopaczy i brukarzy z gub. Twerskiej.

gdyż carskie stupajki korzystają w kraju naszym z zupełnej bezkarności. Bardzo tylko rzadko udaje się takich panów zdemaskować publicznie.

Właśnie o jednym z takich faktów chcę wam donieść obecnie — o fakcie, który wydarzył się w miasteczku Krożach, pamiętnych mordowaniem ludności przez żołdactwo moskiewskie w r. 1894.

W Krożach miał być odbudowany kościół; w tym celu pozwolono proboszczowi miejscowemu, ks. Józefowi Gudzińskiemu, zbierać składki — do wysokości 12.000 rubli. Składki płynęły dość wolno, więc ksiądz w rzadkich odstępach czasu odwoził zebrane sumy do Wilna, do banku. Niedawno znowu uzbierało się coś przeszło 5.000 rubli, więc ksiądz udał się do miejscowego sprawnika po paszport. Ale sprawnik oświadczył księdzu, że, jego zdaniem, ksiądz zbyt często jeździ do Wilna, więc musi mu odmówić paszportu. Ksiądz, bojąc się przechowywać na plebanii tyle pieniędzy, zakomunikował sprawnikowi o tem, przyczem wymienił nawet sumę pieniędzy, które miał złożyć w banku wileńskim. Na to sprawnik odpowiedział, że do trzech dni da ostateczną odpowiedź.

Ksiądz uspokojony powrócił do domu, ale już tej samej nocy objawiły się skutki jego wizyty u sprawnika. Po północy dał się słyszeć turkot zajeżdżającego na plebanię powozu, a wkrótce potem rozległo się mocne pukanie do drzwi. Ksiądz wstał i spytał przez drzwi, kto tam, na co otrzymał odpowiedź, że przyjechano, ażeby go zabrać do chorego — konającego. Ksiądz począł się śpiesznie ubierać, przedtem jeszcze poleciwszy nocnym gościom zbudzić organistę, z którym miał jechać razem. W kwadrans potem oznajmiono mu, że organista już gotów i zaraz idzie.

Ksiądz otworzył drzwi i natychmiast potem wpadło do mieszkania sześciu zamaskowanych drabów, którzy zażądali od księdza wydania pieniędzy. Wystraszony ksiądz dał im 150 rubli, któreby i tak znaleziono, gdyby poczęto szukać, bo nie były schowane. Ale rabusie zażądali wszystkich pieniędzy, grożąc w przeciwnym razie księdzu śmiercią. Z początku ksiądz próbował twierdzić, jakoby nie miał żadnych innych pieniędzy, lecz rabusie wymienili mu nawet sumę zebranej na kościół gotówki. Podobno zarzucili już byli księdzu stryczek na szyję, kiedy ten wzdragał się oddać im pieniądze. Nareszcie ksiądz poszedł po pieniądze, ale, wydobywając je ze schówka, nieznacznie sięgnął po nabity rewolwer i, nagle odwróciwszy się, dał kilka strzałów. Dwu napastników padło na ziemię, reszta, spłoszona, czmychnęła. Na odgłos strzałów zlecieli się domownicy i służba i zastali wystraszonego księdza i dwóch powalonych rabusiów — jednego zabitego, drugiego zaś śmiertelnie ranionego. Zdjęto z nich maski i ze zdziwieniem w pierwszym poznano sprawnika, a w drugim jednego z jego podwładnych.

Exesdek.

Pisząc w poprzednim numerze o oszustwie i kradzieży, popełnionych przez t. zw. „secesyę“, nie przypuszczaliśmy, że niebawem będziemy musieli zająć się jeszcze nikczemniejszym postępkiem tych panów.

Oto „secesya“ zwróciła się do C. K. R. z żądaniem nieujawniania pewnej sprawy, rzucającej brzydkie światło na jednego z jej członków, a nawet wprost — wystawienia mu „świadectwa moralności“, grożąc w przeciwnym razie *publicznem ogłoszeniem pewnego towarzysza naszego w kraju oraz ujawnieniem usług, okazywanych przezeń partyi.* Przymusowa emigracya towarzysza naszego z kraju oraz utrata robót, związanych z jego osobą, miały skłonić C. K. R. do wystawienia świadectwa moralności człowiekowi, który czynami swymi sam na siebie wyrok wydaje. Panowie ci nie szukali nawet jedynej właściwej w takich razach drogi — sądu honorowego, lecz chcą oczyścić „swego“ z hańbiących go

zarzutów za pomocą środka w ruchu naszym bezprzykładnego.

Wobec tego oświadczamy, że ogłosimy ową sprawę wówczas, kiedy uznamy to za stosowne, niniejszem zaś piętnujemy tych panów, jako nikczemnych szantażystów.

Z Syberyi

Kołymsk 8 IX 900

Wieści mam dzisiaj dla was złowrogie... W końcu lipca s st. pauzek z zasiedatielem Iwanowym przepływał około osady Żirkowo, odleyłej o 120 wiorst od Średnie-Kołymska; tam właśnie łowił ryby Kałasznikow (towarzysz nasz). Chcąc dowiedzieć się, czy z miasta nie ma dla niego jakiej korespondencyi, w jakuckiem czółenku podpłynął do pauzka i zaczął rozmowę z kozakiem, stojącym na sterze. Zasiedatiel zrobił mu jakąś obraźliwą uwagę, na co otrzymał odpowiedź, żeby nie wtrącał się do cudzej rozmowy. Tu zasiedatiel sypnął na Kał. taką masą obelg, że ten nie wytrzymał, wskoczył na pauzek i rzucił się na zasiedatiela (fuzyę odebrał mu kozak przy wskakiwaniu). Rozjuszony zasiedatiel wezwał całą bandę osiedleńców i kozaków, którzy obalili Kałasz. i tu odbyła się scena, o której nikt z nas nie może dotąd pomyśleć bez dreszczów zgrozy i oburzenia. Zasiedatiel zaczął z całych sił kopać Kał., starając się koniecznie trafić obcasem w twarz; skakał po nim, deptał, jak po podłodze, i byłby go pewno dobił na miejscu, gdyby nie kozak, który zaczął rękami zasłaniać Kał. Rozjuszonej bestyi tego ohydnego znęcania się było mało; czując za sobą siłę całej zgrai, kazał związać broczącego krwią Kałasznikowa i, jakby naigrawając się z jego bezsilności, ułożył najfałszywszy protokół całego zajścia, gdzie rzecz przedstawia jakoby Kał. z fuzyą, wycelowaną w niego, wtargnął na pauzek, wobec czego odebrał mu fuzyę i kazał związać. Naturalnie, o pastwieniu się nad bezbronnym ani słowa nie umieścił. W obawie przed władzą, a w części bojąc się o siebie, wszyscy obecni swoimi podpisami stwierdzili prawdziwość faktu. Kał. rozwiązali i wpakowali do czółenka, w którem ledwo dopłynął do domu. Tu wziął berdankę i puścił się do Śr. Kołymska. Traf chciał, że Janowicz, który w ciągu czterech lat nigdzie nie wyjeżdżał, razem z Jerginową (żoną towarzysza) postanowili zrobić sobie wycieczkę i dojechali do osady „Średnieje" (80 wiorst). Tu zatrzymali się, chcąc wracać, wtem widzą — jakaś łódka płynie. Po maszcie domyślili się, że to Kał. Schowali się w zarośla, chcąc mu zrobić niespodziankę, i czekają. Kał. wyszedł do nich zmieniony do niepoznania i opowiedział całą historyę. Zbyteczne chyba mówić o wrażeniu, jakie to opowiadanie wywarło. Nadeszli ludzie, trzeba było iść na obiad, Kał. zaś poszedł do sąsiedniej „powarni" i nie zjawiał się. Po pewnym czasie rozległ się wystrzał. Wszyscy wyskoczyli, zaczęli szukać, kto wystrzelił; poczuwszy zapach prochu, rzucili się do „powarni" i zobaczyli Kał. już bez tchu, leżącego na ziemi. Obok leżała przywiązana za cyngiel do łóżka berdanka, a na książce krótka notatka, zwrócona do Janowicza, w której pisze, że nie może przeżyć hańby, umiera z wiarą w lepszą przyszłość i że krew jego niech spadnie na łotra Iwanowa. Janowicz z Jerginową złożyli zwłoki do czółenka i przyholowali je do miasta. Każdy zrozumie, jakie uczucia mógł wywołać widok świeżego trupa towarzysza — ofiary samowoli rządowej. Koledzy pobiegli do sprawnika, żądając, żeby niezwłocznie wrócił z drogi sprawcę samobójstwa i oddał go pod sąd. Sprawnik, widząc, że to nie przelewki, natychmiast posłał umyślnego. Sekcya wykazała na czole bliznę (od obcasa), sińce i absolutnie próżne kiszki — dowód, że Kał. przeszło dwa dni nic nie jadł. Koledzy zajęli się pogrzebem, wykopali grób,

zrobili trumnę, pochowali biedaka i powrócili do zwykłych zajęć. My tymczasem dopływaliśmy po morzu do Niedźwiedziej rzeki i, stęsknieni do kolegów, do wiadomości ze świata (byliśmy kilka tygodni na wycieczce) wracamy z pośpiechem, na jaki tylko pozwalały nasze nadszarpnięte tak uciążliwą i daleką wycieczką siły. Koło Omołonu spotykamy nieszczęsny pauzek i tu uderzyło nas odrazu dziwne zjawisko. Na nasz widok wszyscy pouciekali z pokładu i pochowali się, dopiero później ukazał się jeden osiedleniec i wręczył stare listy. Pytamy, poco umyślny przyjechał, co słychać w mieście, ale otrzymujemy wymijające odpowiedzi. Szczegółową relacyę o całej historyi wiózł nam Orłow, ale rozminęliśmy się z nim. Później spotkaliśmy w drodze pomocnika sprawnika i ten raczył powiedzieć nam o samobójstwie, ale czując się zsolidaryzowanym stanowiskiem z tamtym łotrem, zamilczał o przyczynach. Szczegółów całej tej wstrząsającej historyi dowiedzieliśmy się dopiero na miejscu. Pomimo, że to już trzy tygodnie upłynęło od pogrzebu, zastaliśmy wszystkich pozmienianych, potrutych, istne mary. Poczta przyszła i gazety leżały nieczytane. Zeszłego tygodnia przyjechał Iwanow z całą swoją sforą i najbezczelniej zaczął się zapierać, że on Kał. nie bił, że to wszystko kłamstwo itd. Tej zimy zbił on okrutnie starego kozaka, a później wyparł się w żywe oczy wszystkiego, chciał więc i tutaj zastosować ten system. Tymczasem wypadek zrządził, że w poniedziałek (4 września st. st.) Jergin, idąc z dubeltówką, spotkał tego nędznika na ulicy. Widząc przed sobą sprawcę zwierzęcego pastwienia się nad towarzyszem, strzelił do niego, a kiedy ten chwycił rowolwer i zaczął mierzyć w Jergina, strzelił powtórnie. Zas upadł, krzyknął o pomoc, wyskoczył pomocnik i kozacy. Jergin zaś do nich podszedł, oddał dubeltówkę, oznajmił, że to on zabił Iwanowa i dał się aresztować. Zas. następnego dnia umarł, a dziś był jego pogrzeb. W mieście popłoch, bo głupcy myślą, że to sąd ostateczny. Kozaków pościągali dyabli wiedzą skąd i poco. Jergin siedzi w karaułce. Wyjedzie stąd do Jakucka pierwszą sanną, pewno w połowie października. Ona z powodu choroby prawdopodobnie pojedzie z nim razem. Doktor podał się do dymisyi, motywując swą prośbę systematycznem prześladowaniem, jakiego tu doznają polityczni, w rezultacie czego liczne samobójstwa. Sprawnik podobno też się podaje. Charakterystyczne, że ten łotr, umierając jeszcze łgał, mówiąc, że to przez złość oskarżali go. Dopiero jeden kozak zdradził tajemnicę i wyznał z najdrobniejszymi szczegółami wszystko. Wyszło na jaw, że zasied. steroryzował wszystkich, grożąc sądem, każdy więc bał się o swoją skórę i milczał. Teraz pewno języki rozwiążą się...

J.

DYMITR KIRKOR

W Krakowie zmarł towarzysz nasz Dymitr Kirkor Urodzony na Litwie, kształcił się w gimnazyum wileńskiem, gdzie był narażony na wszelkiego rodzaju szykany jako polak *prawosławny*. Wreszcie wydalono go z gimnazyum w Wilnie. Przeniósł się wówczas do Dorpatu, gdzie ukończył gimnazyum, poczem wstąpił na medycynę w Warszawie. Po manifestacyi Kilińskiego aresztowany i zesłany na parę lat do Wschodniej Rosyi. Po powrocie z zesłania udał się do Krakowa, gdzie uczęszczał na medycynę. Jako członek i (niejednokrotnie) urzędnik b. „Zjednoczenie“ narażony był na prześladowania policyi krakowskiej, dzięki której odmówiło mu ministeryum pozwolenia na

składanie egzaminów lekarskich po ukończeniu kursu medycyny, gdyż nie zaliczyło mu czasu studyów w uniwersytecie warszawskim. Śmierć nie pozwoliła mu rozwinąć szerszej działalności dla dobra sprawy socyalistycznej, której był szczerze oddany. Z żalem serdecznym pożegnało go grono przyjaciół i towarzyszy, którzy spodziewali się, że długo jeszcze będą razem z nim cierpieć, pracować i walczyć...

EUGENIUSZ SZCZUKA

We Lwowie zmarł robotnik szewcki — tow. Eugeniusz Szczuka — jeden z najstarszych socyalistów polskich. Należał do „Proletaryatu" i po procesie 1886 r. zbiegł do Galicyi, gdzie pracował w Przemyślu i Lwowie, należąc do najgorliwszych towarzyszów partyjnych. Kiedy choroba proletaryacka, suchoty, poderwała mu siły, postanowił swoje szczupłe oszczędności oddać na partyę i to, jako otatnią wolę, przekazał towarzyszom do spełnienia. Grono towarzyszów partyjnych odprowadziło go na miejsce wiecznego spoczynku. Nad grobem przemówił tow. Mokłowski, podnosząc jego życie ubogie, proletaryackie, wypełnione ciągle jedną ideą — walki o wyzwolenie klasy robotniczej i Polski.

Cześć jego pamięci!

LUZNE NOTATKI

Pomiędzy redaktorem organu radykałów rusińskich — Pawlikiem, — a towarzyszem Haukiewiczem wywiązała się charakterystyczna polemika. Pawlik oświadczył w jednym z N swego organu, ze lwowski okręg V kuryi powinien należeć do rusinów i że socyaliści powinniby tam byli postawić kandydaturę Hankiewicza, na którego by głosowali wszyscy rusini. Tow. Hankiewicz odpowiedział, iż Pawlik „powinienby zrozumieć, że w lwowskim okręgu wyborczym ludność polska ma znaczną większość i że Lwów, rozstrzygający przy wyborze, nie jest miastem rusińskiem. Zresztą, jeśli rusini w swej większości woleli pozbawionego zasad oszukańca, niż socyalistę Hudeca, to sam honor nie pozwoliłby mi być kandydatem durniów". Na takie dictum Pawlik odpowiedział, że pomimo wszystko nie tylko V, ale i IV kurya lwowska powinny należeć do rusinów, tak samo jak i jeden mandat z miasta, pomimo przewagi polaków i że „rusini powinni iść przeciwko polakom, dopóki nie zruszczą Lwowa". Jak to niepowodzenia polityczne zaostrzają apetyt! Szkoda tylko, że Pawlik nie posiada żadnej władzy, bo by gotów był skazać $^9/_{10}$ mieszkańców Lwowa na banicyę.

* * *

Organ Socyalnodemokratycznej partyi Rosyi „Raboczeje Dieło" w ostatnim numerze (8-ym) przedrukował rosyjską odezwę naszych secesyonistów i zaopatrzył ją w niezwykle czułe komplementy pod adresem tych panów. Jeśli redakcya „Rabocz. Dieła" wie, czem są secesyoniści, w takim razie bardzo dziwnym (co najmniej) jest jej zachwyt; jeśli zaś nie wie (co jest bardziej prawdopodobne), i, pomimo to, sypie komplementami, to niech że nie dziwi się, jeśli „Rab. Dieło" przestanie być uważane za organ poważnej partyi.

* * *

Niemiecka prokuratorya państwa nie odnowiła w roku bieżącym listów gończych, którymi dotychczas ścigała była tow. Bernsteina i Mottelera — pie-

rwszego jako redaktora, a drugiego jako załatwiającego wszystkie transporty „Sozialdemokrata“ zuryskiego podczas praw wyjątkowych w Niemczech. Obydwaj więc towarzysze mogą powrócić do Niemiec. Zwłaszcza cieszymy się z powrotu tow. Mottelera, szczerego i serdecznego przyjaciela polaków i P. P. S.

* * *

W broszurce „Polska Partya Socyalistyczna w ostatnich pięciu latach“ podane są daty statystyczne, odnoszące się do strejków w zaborze rosyjskim. Ustęp ten był przedrukowany w pismach polskich, następnie zaś przeszedł i do prasy zagranicznej, a w drodze jakiś nasz „przyjaciel“ ogłosił go za dane rosyjskie i nawet — urzędowe. Notatka w tej formie wędrowała dość długo po pismach niemieckich — aż nareszcie powróciła znowu do polskich, z których jedno zaopatrzyło go w komentarz, wyjaśniający, że ruch rosyjski, jak widać z tych danych, rozwija się z żywiołową i szaloną siłą. „Tak się pisze historya!“.

* * *

Partyjna literatura bulgarska bardzo obficie czerpie ze źródeł polskich. Niedawno wyszły w tłómaczeniu rzeczy następujące: „Dobra nowina dla robotników wiejskich“, „Ludwik Waryński“ (T. Regera), „Wiara a sprawy społeczne“, „Pochodzenie i koniec świata“. W zbiorze poezyi „Rabotniczeska piesnopojka“ spotykamy udatny przekład popularnej poezyi „Czegóż chcą oni“, dokonany przez tow. J. Bakałowa. Nawet na przekładzie „Kwestyi kobiecej“ K. Zetkinowej czytamy: „tłómaczenie z polskiego“.

* * *

W tygodniku wiedeńskim „Die Wage“ zamieścił p. Władysław Studnicki artykuł, poświęcony ruchowi socyalistycznemu w zaborze rosyjskim. Artykuł, napisany z powodu naszej broszury sprawozdawczej, wiernie przedstawia charakter ogólny P. P. S. i dlatego może być z pożytkiem przeczytany przez każdego cudzoziemca, który nie posiada wiadomości o naszym ruchu.

* * *

Podczas obchodu na cześć dekabrystów, urządzonego w Paryżu przez socyalistów rosyjskich wszystkich odcieni, przemawiał tow. El. E-se w imieniu P. P. S., wyjaśniając nasz stosunek do rewolucyonistów rosyjskich.

* * *

„Bund“, żydowski, zyskuje coraz to nowych zwolenników. Niejaki Engelhardt, wysłany przez redakcyę dziennika „Nowoje Wremia“ do Wilna, charakteryzuje różne objawy życia tego miasta. Między innymi zwrócił uwagę i na „židowskij socyalizm“, który jego zdaniem ma być w Wilnie silny. P. Engelhartd charakteryzuje go jako protest nędzy żydowskiej przeciwko żydowskim bogaczom i oskarża tych ostatnich o denuncyowanie „židowskich socyalistow“ o dążności antyrządowe, co jego zdaniem jest najzupełnie niesłuszne. Widocznie słyszał coś o rusyfikacyjnych dążnościach „Bundu“...

CZERWONY KRZYŻ

Towarzystwo pomocy polskim więźnio a i emigrantom politycznym

Rząd carski nie przestaje prześladować wszelkie objawy dążenia do wolności i walki o interesy uciśnionych i wyzyskiwanych; więzienia i drogi wygnania pełne są ofiar ucisku, najlepszych rodaków naszych, emigracya roi się od przymusowych zbiegów, pozbawionych środków utrzymania.

Obowiązkiem każdego uczciwego człowieka, uznającego konieczność nielegalnej pracy w Polsce, jest pomagać tym, co cierpią za tę pracę, bez różnicy przekonań i organizacyi.

Towarzystwo „Czerwony Krzyż" — według § 1 swej ustawy — „niesie pomoc więźniom i emigrantom politycznym z zaboru rosyjskiego i emigrantom z trzech zaborów bez różnicy programów i partyi".

Obywatele! rodacy! dawajcie składki na „Czerwony Krzyż".

Kasyer główny: Bolesław Limanowski
38 bis, boulevard St. Marcel, w Paryżu.

Sprawozdanie Kasowe Zarządu Głównego Nr. 6.

za czas od 15/IV 1900 do 15/I 1901.

Dochód

Remanent d. 15/IV 1900	Fr.	77.15
Od sekcyi w R. (Niemcy)	„	264.40
„ w K. (Niemcy)	„	187.90
„ w Paryżu	„	122.70
(w tem z obchodu majowego Oddz. P. P. S. fr. 30.60, i z obchodu jubil. Bol. Limanowskiego fr. 38.00)		
„ w Genewie	„	111.00
Od kolektora w Leodyum	„	87.45
Od sekcyi w C. (Niemcy)	„	66.55
„ w B. (Niemcy)	„	55.90
„ w Antwerpii	„	32.00
„ w Winterthurze	„	14.00
Od kolektora w Bruksełli	„	11.00
Z po za organizacyi:		
Od ob. A. Szczepańskiego w Krakowie	„	212.65
Od oficera w służbie rosyjskiej	„	45.00

Do przeniesienia fr. 1287.70

	Z przeniesienia Fr.	1287.70
Zebrane na zjeździe Związku Młodzieży Postęp. Polskiej w Paryżu	„	34.10
Od ob. Wrońskiego we Lwowie	„	10.35
	Razem fr.	1332.15

Rozchód

Wysłano do Kasy Pomocy Więźniom politycznym w zab. rosyjskim .	fr.	954.70
Pożyczki bezterminowe	„	260.50
„ terminowe	„	40.00
Administracya	„	31.80
	Razem fr.	1287.00
	Dochód ogólny „	1332.15
	Rozchód ogólny „	1287.00
Remanent d. 15/I 1901	fr.	45.15

Kasyer Główny: B. Limanowski.

Sprawdzono przez Komisyę Rewizyjną d. 18 maja 1900 r.

Członkowie Komisyi Rewizyjnej:

W. Sikorski.
E. Szymanowski.
Józef Zieliński.

Jak z powyższego sprawozdania widać, odezwa nasza, dołączona do poprzedniego sprawozdania, wywołała pożądany skutek. Ofiarność zwiększyła się, działalność ludzi dobrej woli, zbierających fundusze na pomoc ofiarom prześladowań caratu, ludzi, przeważnie należących do uczącej się młodzieży, a którym niniejszem składamy serdeczne podziękowanie, objęła kilka nowych punktów; dość, że w ciągu trzech kwartałów dochód przewyższył dochód z całego roku poprzedniego, a nawet proporcyonalnie jest najwyższym, jaki osiągnięto dotychczas. Podając ten pomyślny rezultat do wiadomości ogólnej, zwracamy się jednocześnie do wszystkich ludzi dobrej woli z gorącą prośbą, aby nie ustawali w gorliwości i ofiarności, albowiem z kraju, z zaboru rosyjskiego, dochodzą nas ciągłe wiadomości o nieustanie zwiększających się potrzebach coraz liczniejszych ofiar caratu i ich rodzin, a to, co przesyłamy do kraju, jest w gruncie rzeczy jeszcze bardzo, bardzo drobnym przyczynkiem do zaspokojenia tych potrzeb, które zaspakajać jest naszym najświętszym obowiązkiem!

Zarząd Główny.